PAN

ULEGAJĄC ŻYCZENIOM LICZNYCH KÓŁ CZYTELNIKÓW, PISMO NASZE Z DN. 1 KWIETNIA R. B. PRZEKSZTAŁCIŁO SIĘ NA DWUTYGODNIK. CENA PRENUMERATY POZOSTAJE PRAWIE BEZ ZMIANY, MIMO, ŻE CZYTELNICY ZAMIAST 3 ZESZYTÓW KWARTALNIE BĘDĄ OTRZYMYWALI 6. W TYCH NOWYCH RAMACH WYDAWNICZYCH REDAKCJA „PANI" BĘDZIE SIĘ STARAŁA O ROZSZERZENIE SZEREGU DZIAŁÓW PISMA I O PODNIESIENIE JEGO AKTUALNOŚCI. NIE WĄTPIMY, ŻE WSZYSCY CZYTELNICY PRZYJMĄ DWUTYGODNIK „PANI" RÓWNIE ŻYCZLIWIE JAK PRZYJMOWALI DOTĄD MIESIĘCZNIK.

TREŚĆ NUMERU

NASZE DWORY . . . . . *Adam hr. Rzewuski*
Z OJCZYZNY TANGA . . . . . *Gomez Carillo*
Z hiszpańskiego przełożył J. K.
O ZAPŁACZ (wiersz) . . . . . *Helena Vacaresku*
Tłom. M. Pawlikowska
MIŁOŚĆ (wiersz) . . . . . *Leonard Podchorski-Okołów*
VOLTAIRE ZAKOCHANY . . . . . *Erot*
ROMANTYK . . . . . *Irena Pokrzywnicka*
UNIWERSYTET PIĘKNOŚCI . . . . . *Stanisława Hulanicka*
ZA KULISAMI EKRANU . . . . . *Jerzy Borycki*
UPARTA MODA PARYSKA . . . . . *Zofja Kramsztyk*
LIST Z PARYŻA . . . . . *Hilla*
Z franc. tłom. N.
GDY BĘDZIE CIEPLEJ . . . . . *Nina*
KAMIZELKI, ŻABOTY . . . . . *Nina*
POUR ETRE BELLE... . . . . *Dr. W. Zawisza*
W PRZEDEDNIU OTWARCIA WYSTAWY *Józef Brodzki*
TEATR I MODA . . . . . *Nina*
RADZĘ PRZECZYTAĆ . . . . . *Wanda Melcer-Rutkowska*
MISCELLANEA ZAGRANICZNE . . . . *Rad*
NOTATNIK PANI . . . . . *Z. Kleszczyński, Cez. Jellenta, W. Huzarski*

OKŁADKA. *Tadeusz Gronowski*

NUMER ZDOBILI: *Ir. Pokrzywnicka, T. Gronowski i J. Zaruba*

REDAKTOR NACZELNY: *Marjan Dąbrowski*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Gustaw Zmigryder*

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł.	5.50	Egzemplarz		
Kwartalnie	„	15.—	pojedyńczy	Zł.	3.—
Półrocznie	„	30.—	„ (z przesyłką)	„	3.50
Rocznie	„	60.—	Zagranicą „		4.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach oraz w księgarniach kolejowych „Ruch".
Ogłoszenia przyjmuje administracja i wszelkie biura ogłoszeń.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Nowogrodzka 26 m. 5, II p. tel 234-65, 70-21. Konto P. K. O. 82-92.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Pani" (sp. z ogr. odp.)

Klisze wykonano w zakładach fotochemigraficznych „Helios"

SKŁAD OBIĆ PAPIEROWYCH

F. STASZEWSKI

WYROBY WŁASNE I ZAGRANICZNE

WARSZAWA, MAZOWIECKA 8

TELEFON 70-85

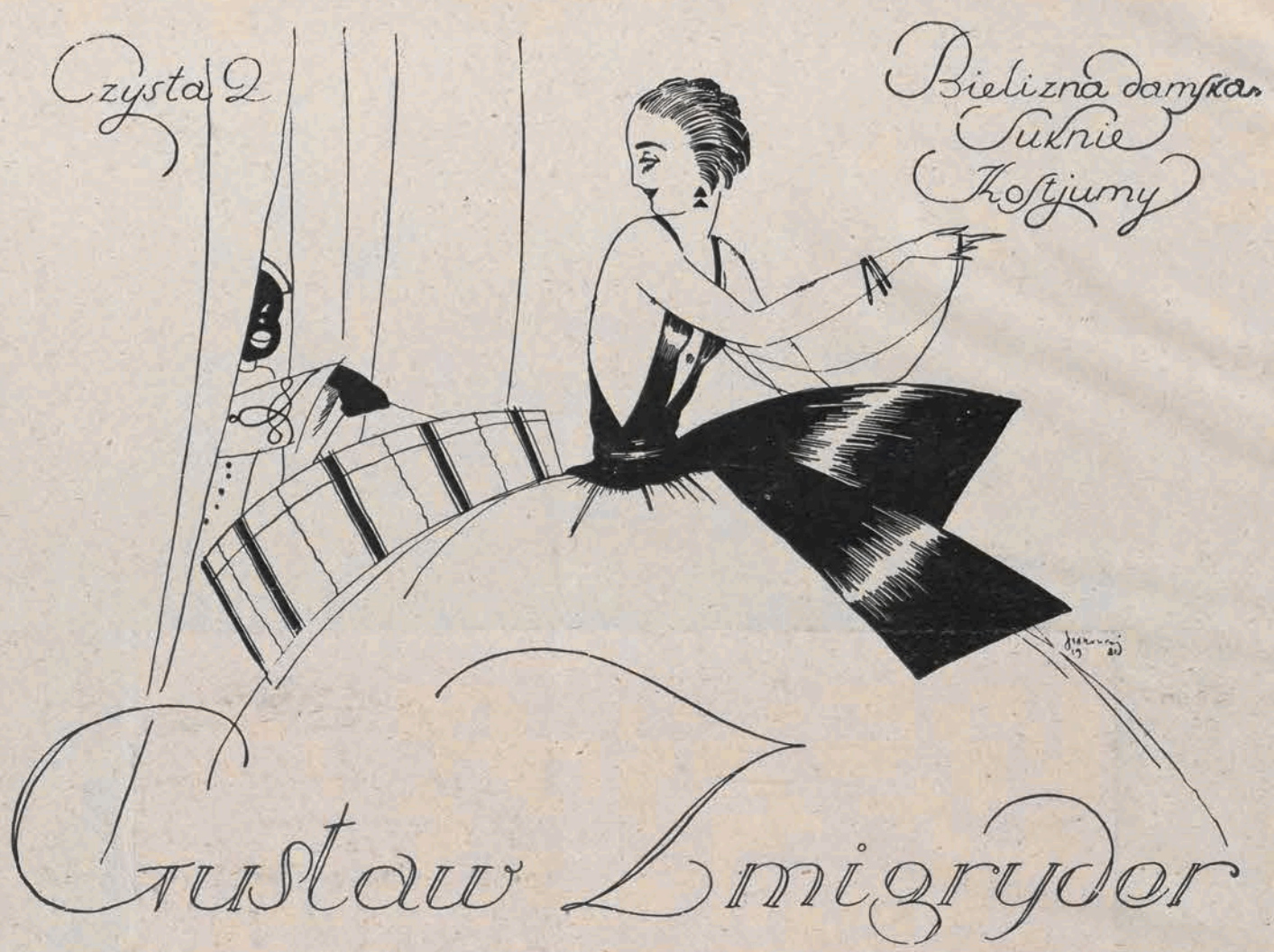

„WARSZAWIANKA“

PENSJONAT W ZAKOPANEM

POD NOWYM ZARZĄDEM

POLECA POKOJE Z WYKWINTNEM UTRZYMANIEM

NOWOCZESNY KOMFORT

CENY ZNIŻONE

OKRYCIA DAMSKIE

SUKNIE I FUTRA

„CHIC PARISIEN”

Marszałkowska 137 :: Telefon 85-60

ODO-RO-NO

Nowy znakomity wynalazek amerykański!

Zapobiega nadmiernemu poceniu się pach, rąk i nóg!

Zalecany i stosowany przez lekarzy!

Używa się 2 — 3 razy tygodniowo!

DO NABYCIA W WARSZAWIE:
Skł. Apt. R. Kleniec, Graniczna 2;
Ekon. Skł. Apt., Marszałkowska 60;
I. Dreher, Nowogrodzka 21.

W ŁODZI:
w Magazynie Kosm. Skł. Apt.
A. Rozenblat, Zielona 3.

Wył. Przed. Dom Handl. - Komis.
„SAIR"
Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 2.
Telef. 307-49

Krem Puder Mydło

Cazimi
METAMORPHOSA
UDELIKATNIAJĄ CERĘ, USUWAJĄ WSZELKIE JEJ WADY!

Piegi SĄ ZGUBĄ TWOJEJ URODY
UWOLNIJ SIĘ OD NICH TEJ WIOSNY i LATA
TAK ŁATWO TO UCZYNIĆ ZA POMOCĄ KREMU
Dr. Orgley'a
JEST ON NIEZRÓWNANY. ZA POMOCĄ TEGO SŁAWNEGO KREMU **PIEGI** NAPEWNO ZNIKNĄ, A JEDNOCZEŚNIE SKÓRA NABIERZE ŚNIEŻNEJ BIAŁOŚCI I MIĘKKOŚCI
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

CZEKOLADKI
CZEKOLADA
CUKIERKI
JAN FRUZIŃSKI
WIERZBOWA 8
KRAK·PRZEDM·5
MARSZAŁKOWSKA
75 i 133

Kawa HAG bez kofeiny jest naturalną kawą ziarnistą najlepszego gatunku, smakuje wyśmienicie i użyta nawet późno wieczorem w silnej mocnej esencji, nie powoduje żadnych nie- --- zdrowych następstw. ---

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE
Reprezentant A. SMOLKA
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 149. Tel. 42-71.

ODDZIELNE
KABINY

BEZZAWODNE FARBOWANIE WŁOSÓW

NA WSZYSTKIE KOLORY

TYLKO W FIRMIE

BOLESŁAW MAZURKIEWICZ

Nowy-Świat 40 (gdzie kino „Pan") :: :: :: Telefon 233-60

ORYGINALNE SZWEDZKIE MASZYNKI

TYLKO z NAPISEM
HUSQVARNA

PERFUMY, MYDŁA, PUDER

„RIVIERA"

WYKWINTNY ZAPACH
WYTWORNE OPAKOWANIE

WILDT i S-ka

Sp. Akc.

W WARSZAWIE

SKLEPY WŁASNE:
NOWY-ŚWIAT 69 :: :: BIELAŃSKA 25

„Franboli" s.z o.o.

NAJLEPSZE
CZEKOLADKI
I
MARCEPANY

SKLEPY:
1) ul. Ossolińskich 1, gmach Hotelu Europejskiego .˙. Tel. 402-50
2) ul. Marszałkowska 113 róg Złotej .˙. .˙. .˙. .˙. .˙. Tel. 411-99
Kiosk w westibulu Hotelu Bristol

FABRYKA:
PRAGA, UL. ŚNIEŻNA 3, Tel. 402-52

LAMPY, kolumnowe, salonowe i nocne
MEBELKI, pudła, pandory, bloki, lusterka,
ramki, lichtarze i t. p.
BATIKOWANE i INKRUSTOWANE
po cenach ŚCIŚLE FABRYCZNYCH
i na DOGODNYCH warunkach ZAPŁATY
poleca:
Tow. Handl.-Przem. „TERRA"
Sp. z o. o.
w Warszawie, ul. Świętokrzyska Nr. 20
Tel. 79-76 i 96-20. I piętro, front od 9 rano do 4 m. 30 pop.

DZIECKO

w swych naturalnych pozach nastręcza dużo okazji dla pięknych zdjęć fotograficznych.

Prócz tego ma to dla rodziców i dzieci specjalny urok, gdy po wielu latach ogląda się te zdjęcia i stwierdza jak to się ongiś wyglądało.

Do zdjęć takich najlepiej się nadają

GOERZA APARATY
I GOERZA TENAX FILMY

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych składnicach fotograficznych.
!! Prospekty gratis !!

ZAKŁ. OPT. C. P. GOERZ
BERLIN – FRIEDENAU

NOWOŚCI
SEZONOWE

KONOPKA & REDULSKI

MARSZAŁKOWSKA 130 TEL. 30-01

WEŁNY JEDWABIE

MATERJAŁY NA UBIORY MĘSKIE

Czy chcesz być piękną?

Mieć twarz białą, świeżą i zdrową?

usunąć bez śladu piegi, plamy, wągry, opaleniznę i zmarszczki na twarzy?

więc

Używaj kremu Metamorfoza „PIEGOL" z Kogutkiem

Skutki zdumiewające!!

KAŻDA Z PAŃ,

dbająca o swój wygląd powinna używać do twarzy taki krem, który usuwając piegi i inne defekty skóry nie niszczy naskórka.

Od kremu należy wymagać, by udelikatniając cerę nadawał jej świeży, zdrowy i jędrny wygląd.

Krem Metamorfoza „PIEGOL", z Kogutkiem odpowiada temu celowi. Już po użyciu jednego słoika będzie mogła każda z Was wydać swój sąd i polecić go tym ze swych znajomych lub przyjaciółek, na piękności których Wam zależy.

Sprzedają apteki, drogerje, składy apteczne, perfumerje i fryzjerzy.

GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GĄSECKIEGO W WARSZAWIE, ULICA FRETA Nr. 16

B A R W A

Przy kupnie materjałów na pokrycie mebli trzeba tak dobierać kolor, aby harmonizował z otoczeniem.

Do kremowych ścian równie dobrze pasuje „mokka" jak „vert amande" zły zaś będzie zwykły zielony lub bronzowy.

Specjalnością naszą jest nietylko sprzedaż materji, ale i dobry gust w ich doborze.

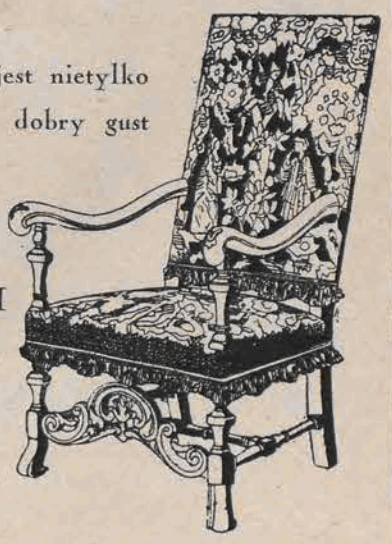

J. GARDOWSKI

WARSZAWA

WIERZBOWA 4

CUKIERNIA
ŻIEMIAŃSKA
WARSZAWA — MAZOWIECKA 12

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 7 | 15 MAJ 1925 | ROK IV

MARJA NIEDZIELSKA, *Fot. St. Brzozowski*

która w sztuce Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka", kreuje tak wdzięcznie rolę Doroty Smugoniowej

ZABORÓWEK OD STRONY OGRODU

Nasze dwory

Wsi spokojna! wsi wesoła!
Jan Kochanowski.

Ośrodkiem życia wytworno-estetycznego oraz narodowo - towarzyskiego były zawsze rezydencje wiejskie. Dwór polski stanowił niezmiennie owo „sanctuarium", w którem przechowywały się tradycyjnie ciche cnoty, poczciwość i humor rzetelny praojców. Oprócz tego, ileż to zabytków historycznych, ileż dzieł sztuki, architektury—wogóle ile wrażeń i przeżyć kulturalno-artystycznych można odczuć w każdem niemal podobnem „home" — ziemianina rolnika lub przemysłowca! Żywym jest jeszcze w pamięci nas wszystkich tak umiejętnie prowadzony przez ś. p. Laskowskiego (Ela) „Wieś i Dwór", z maestrją wykwintną podany cykl opisów siedzib szlacheckich w tem europejskiego zakroju niezapomnianem wydawnictwie! To też, zawsze trzymając rękę na pulsie wymagań i potrzeb chwili bieżącej, Szanowna Redakcja naszej pięknej „Pani" — postanowiła, o ile się da, wznowić szereg fragmentów graficznych i literackich z życia tych śmiało można powiedzieć „oaz" — względnego dzisiaj chociażby zacisza — śród morza neurastenicznej sarabandy warunków życia miast współczesnych! Kiedy się retrospektywnie rzuci okiem wstecz — ileż to się widzi bezpowrotnie zaginionych — wspomnień nawet — o skarbach sztuk niezrównanych w dominjach naszego ziemiaństwa kresowego! A gdybyśmy mieli w posiadaniu chociażby zdjęcia ich fotograficzne, czy literackie opisy tych siedzib zniszczonych — stanowiłoby to niezawodnie niemałą i cenną pociechę estetyczno-kulturalną, a także drogi zabytek dla historji kraju całego! Dzięki Bogu jednak Kongresówka, Małopolska, Poznańskie oraz ocalałe od wandalizmu bolszewickiego nasze powiaty Wołynia, Litwy i Polesia mogą jeszcze służyć za

ZABORÓWEK — FRAGMENT SALONU Z PORTRETEM BISKUPA WODZIŃSKIEGO

teren badań szkiców podobnych! Umiejmyż cenić te klejnoty bukolicznego rozwoju naszych rodzin ziemiańskich— dopóki istnieją dwory podobne na tym łez padole! Nie chodzi tu wcale o opis li tylko ogólnie i szeroko znanych pałaców i siedzib magnackich! Bynajmniej! — właśnie często bardzo, pod bokiem naszym nieraz prawie, u samych wrót Warszawy — odnaleźć można skarby i cuda prawdziwe!

Nikt o nich nie wie i nie słyszał nawet! Cicho drzemią lip starych aleje! Pokolenia tu zamieszkałe rodzą się — pracują — tworzą — umierają śród estetyki otoczenia ogromu! Czas jednak mija nieubłaganie! Robak zmienionych warunków bytu podkopuje się nieznacznie ku zagładzie rezydencyj staroświeckich! Powstaną być może na ich zgliszczach inne, wspanialsze, lecz już bez tej patyny piętna czasu, bez tego „cachet" lat przebolałych, bez pastelowych, zamieszkałych tu ongiś sylwetek kobiecych, w mgławicę oddalenia na wieki rozproszonych! Nie wyklucza to zupełnie intensywności tętna młodego, nowego życia współczesnego, jakoteż sportowego — na tle kwiecia wiosny, śród tchnień pól szerokich, cieni drzew, lasów zadumanych... Podobnie jak zalety, śliczności, „charmes" pewnych kobiet — dusze swe, serca czarem wzroku nie odrazu darzą, a tylko powoli bardzo zdrojem łask swych bezpowrotnie ujarzmiają — tak też wieś nasza potencjonalnie piękna bywa!... Zrozumieć, odszukać, wyczuć ją trzeba! Przypatrzmy się więc uważniej jej obliczu! Poznajmy bliżej od zamku wspaniałego do modrzewiowego dworku Litwy — a niezawodnie — pokochamy ją sercem całem!... Duszą zaś i promieniem tej jedynie szczęśliwej egzystencji pod słońcem, którą jest „cette large vie du château et de campagne" — tego życia wiejskiego była, jest i będzie — urocza towarzyszka dni naszych!... Tobie więc piękna Pani! — „Pani" — Łaskawa czytelniczko — poświęcam te skromne szkice rezydencyj dworów i dworków polskich, spełniając jednocześnie hasło naszego Pisma — mianowicie wiernie służyć kulturze i estetyce życia, czyli — co równoznacznie — Tobie urocza Kobieto — Piękno odwieczne!

Mając na względzie także ogromne zainteresowanie się pewnego odłamu naszego społeczeństwa ziemiańskiego wszystkiem tem, co związane jest z życiem wsi — najlepszem dowodem czego dość szerokie rozpowszechnienie naprzykł. wydawnictwa w rodzaju „La vie à la campagne", lub angielskich dwutygodników — oczywiście staje się poniekąd niezbędnem podobne nasze polskie. Tembardziej, że doprawdy, zarówno piękno przyrody swoistej, jakoteż niejednej wspaniałej rezydencji w niczem nie ustępują chyba przeróżnym „château" Touren-n'y lub Seine'y i Marny! Dziwnem by było zainteresowanie się cudzem, mając tyle własnej estetyki pod bokiem! Lecz tak nie jest — i da Bóg nigdy nie będzie.

ZABORÓWEK—PIĄTKA SWEGO CHOWU

ZABORÓWEK

(szkic pierwszy)

W odległości zaledwie 27 kilometrów od stolicy leży pod pasmem puszczy Kampinowskiej, otoczony pięknemi, strzyżonemi grabowemi szpalerami, ujmująco miły pałacyk — własność p.p. Gabrjelostwa Wodzińskich. Niejednokrotnie podejmowany złotem sercem właścicieli rozpoczynam od zagrzebanej w piaskach podwarszawskich śród sosen Mazowsza, na uboczu od ludzi, bo zdala od szosy poznańskiej i kolei (Miły mój Boże! — cóżby to u nas na Kresach o tem powiedziano? — siedem wiorst!— ależ daleko! — ot dopiero śmiechu rzetelnego by było!), lecz właśnie mającej wszystkie cechy „des charmes cachés d'une jolie résidence!" Wzorowe, intensywnie prowadzone gospodarstwo rolne i leśne, śliczne inwentarze, prawdziwie staropolska gościnność kaptują serca wszystkich odrazu, którym przypadła fortuna do Zaborówka zawitać! Urok i miłe spojrzenie „châtelaine" tej siedziby, z hr. Jezierskich p. Róży Wodzińskiej, na zawsze do dworu praojców (bo już od 1805 w posiadaniu tej rodziny) biedne serce przywiązują! Ognisko to z babką obecnych młodych latorośli, z Karnkowskich p. Janową Wodzińską — ujmująca miła dziatwa! — jeszcze potęguje te uczucia! W gustownie urządzonych wewnętrznych apartamentach, w salonie, bardzo piękny portret jednego z antenatów, Biskupa Smoleńskiego Gabrjela Wodzińskiego (ur. w 1718, um. 1788), oraz rzadkie bardzo sztychy hetmana W. K. Wacława Rzewuskiego i jedyna — śmiało powiedzieć można „unicum" — *fotografja autora Listopada i Pamięników Soplicy, Henryka hr. Rzewuskiego z żoną, z domu hr. Grocholską*. Udało mi się to rzadkie zdjęcie dla „Pani" pozyskać.

Ponieważ matką właścicielki jest z Ciecierskich ś. p. Stanisława hr. Jezierska, rodzona wnuczka wielkiego pisarza i klasyka naszego — zrozumianą się staje obecność tych drogocennych zabytków! Pamiętam dobrze szlachetną postać tej prawdziwej niewiasty staropolskiej, matrony dawnego autoramentu. Z jakim pietyzmem przechowywała chociażby najmniejsze wspomnienie o stryju moim, twórcy Zamku Krakowskiego i Rycerza Lizdejki! Cześć Jej Świętej Pamięci — o duszy gołębiej! Zresztą ten głęboki szacunek ku dawnym, skoligaconym z Wodzińskiemi rodom uwydatnia się w szeregu całym rzadkich bardzo manuskryptów i dokumentów z archiwum rodzinnego.

Z delicją prawdziwą wertowałem owe prastare pergaminy! Co stanowi szczególny urok tyle miłego dworu Zaborowickiego — jestto specyficzne tło najzupełniejszego zda się odludzia, jakby stu mil zdala od zgiełku stolicy!... Rzekłbyś, pierścień miłośnie okalających lasów — het! — gdzieś u brzegów Prypeci, Ptyczy poleskiej leży — przenigdy pod murami Warszawy!

Wrażenie to szczególnie silnie dało się odczuć, kiedy to wypadło mi spędzić noc w budce, na tokach cietrzewich, na gościnnych terenach, własności najmilszego i przezacnego p. Stanisława Paschalisa, obok Zaborówka leżących. Odblask zorzy świateł warszawskich, z jej Bristolem, Oazą, Dancingami i tokujący pieśniarz wiosny! — szepty i cisza zarania! — podczas gdy w „arière-planie krwawo świeci na czarnem niebios welonie — histerja zgrzytów wielkomiejskich — zaiście niesamowity to widok!

Fotografja autora Listopada i Pamiętników Soplicy hr. Rzewuskiego z żoną, z domu hr. Grocholską

Oprócz tego tak rzadkiego połączenia fragmentu iście polskiego z podwarszawskiemi łowiskami, Zaborówek, wyniszczony przez wojnę ze swych dawnych zwierzostanów, dzisiaj, dzięki zabiegom i niezmordowanej pracy właścicieli, powoli dochodzi do dawnej świetności. Dużo zajęcy, kuropatw, co chwila napotkać można rozmarzone oczy rogaczy, których kilka pada corocznie odstrzelonych na „podjazd". W dziedziny objektów nowej produkcji Zaborówek słynie z wyrobu win owocowych, przeróżnych odmian, zaiście wyśmienitych. Dział ten znajduje się pod wyłączną kustodją ujmująco miłej „châtelaine". Na każdym zresztą kroku odczuwa się intensywność tej mrówczej pracy, która to stanowi pierwiastek twórczy, fundament wielkich fortun i zaczątek miljonów — nawet przy dzisiejszych, tak ciężkich warunkach gospodarowania na wsi. W zakresie pracy społecznej p. Gabrjel Wodziński, też przyjmuje udział więcej niż wszechstronny nie ma instytucji prawie w której by nie figurował. To też, nie tak łatwo zastać go w domu, bo albo przy pracy w polu, albo na tem lub innem posiedzeniu. Prawdziwy typ „gentlemana-farmera", w najlepszem tego wyrazu znaczeniu. Szczęść mu Boże!

Dziś, kiedy metody pracy na roli, wysoka kultura Kongresówki, a szczególnie Poznańskiego i Pomorza coraz częściej przez nowych nabywców dzikich, odłogów — powiatów kresowych — bywają stosowane, tembardziej ważną jest rzeczą, powiem bynajmniej nie reklamowanie, lecz proste uświadomienie szerszego ogółu o podobnych ośroddkach. Widząc zdjęcia pięknych, skromnych nawet, lecz o wzorowym porządku rezydencyj, czytając o różnorodnie wykorzystywanych nowych produkcjach, mimowoli wyradza się chęć naśladownictwa i utworzenia czegoś podobnego, tam hen, daleko, na piaskach i mokradłach Polesia lub Litwy! Metodą graficzną i opisową, najlepiej się osiąga rezultaty podobne, szczególnie kiedy to fotografje owe stoją na poziomie naszej „Pani", zdjęć artystycznych. Ponieważ nie moja to robota więc śmiało pisać o tem mogę, nie narażając skromności swej na szwank!

Dlatego też zdjęć kilka załączając dla Łaskawych Czytelniczek, cieszę się, że będę miał przed wzrokiem moim miłe kontury pałacyku, podczas kiedy w sercu sylwetki „seigneurs et maitres Zaborowieckich zawsze obecne będą z ich pięknąsiedzibą „na uboczu leżącą", — lecz zawsze w duszy pobliżu.

ADAM HR. RZEWUSKI

GOMEZ CARILLO

Z Ojczyzny Tanga

„Corbeilles"

Wszyscy słyszeliśmy dawno o premjerach i przedstawieniach galowych w „Teatrze Kolumba". Dzięki informacjom podróżników po Argentynie, wśród których ma swe miejsce także Clemenceau, wiedziałem, że owe noce teatralne stolicy argeńtyńskiej przewyższają pod względem świetności i blasku nawet to, co daje oczom Opera paryska. Wiedziałem, że pełna sala „Teatru Kolumba" przedstawia największą na świecie masę śnieżnych gorsów i marmurowych ramion. Wiedziałem, że w bezmiernym hemicyklu, od parteru aż po najwyższe galerje, wiszą nad sobą zachwycające „corbeilles" kwiatów-kobiet, piękniejszych niż marzenie arabskiego poety. Znałem dumę, bogactwo i blask tej nocy.

A jednak może właśnie na skutek tego rozgłosu zdawało mi się, że to wszystko raczej zdumiewa, niż ujmuje, że jest próżnem chełpieniem się, mającem zdumiewać świat argentyńską wspaniałością.

Czyż w którejś z książek nie czytałem, że kwiaty owych fantastycznych „corbeilles" są tak nieruchome, tak doskonałe i tak do siebie podobne, jakgdyby były z jedwabiu lub wosku, a nie z gliny opiewanej przez poetę?... Czyż nie mówiono mi, że w czasie antraktów te urocze rusałki nie pozwalają sobie ani na jedno słowo, ani na jeden uśmiech, ani na jedno skinienie głową, aby swym pozom nie odbierać wdzięku?

Te pogłoski nasuwały mi się na myśl, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w owym sławnym teatrze.

Istotnie, antrakt stanowił dla mnie właściwe widowisko tej nocy. Co za światło!... Co za blask!... Co za przepych!... Wszystkie emalje i złota dekoracji gasły wobec nadmiaru bogactw żywych. Lecz tej żywej iluminacji nie stanowiło bogactwo klejnotów, bogactwo łatwe i o wątpliwym smaku. W niejednym teatrze na Montmartre widziałem więcej drogich kamieni, niż tutaj. Emalja świeżych lic, alabaster rąk, turkusy i szafiry oczu, marmury piersi, złote połyski na włosach blondynek i czarne loki śniadych głów, gazy, tiule, koronki, -- oto co tworzyło obraz tysiąc razy wspanialszy, bogatszy i milszy, niż wszystko, co w tym rodzaju widziałem dotychczas.

Tak. Ani w paryskiej Wielkiej Operze ani w madryckim Teatrze Królewskim ani w Covent Garden Londynu, nigdzie i nigdy, ale to nigdy, klasyczne „corbeilles" teatralne nie bawiły mych oczu tak pięknem i tak bujnem kwieciem. Wszystko było bez skazy, a równocześnie było ujmująco miłe.

Gdzież jest owa nieruchoma sztywność, której się obawiałem? Nie zauważało się nawet zbytniej powagi. W kwiatach odzywała się dusza, kwiaty uśmiechały się, kwiaty żyły. Owiane lekkiem i słodkiem tchnieniem różnobarwne ich łodygi falowały na różowem i złotem tle oprawy. Było to życie, szlachetne życie świata kobiet.

A na skutek cudownego zwyczaju przynoszącego zaszczyt Argentyńczykom, mężczyźni jakby zobowiązali się zniknąć, nie istnieć, po to, aby w lożach pozostały jedynie wiązanki kobiet o barwach kwietnia.

A jadnak „Teatr Kolumba" z jego lśniącemi cudami, z jego nieskazitelnym przepychem, z jego blaskiem niemal niewiarogodnym nie będzie tem, co najmilej będzie mi mówiło o Buenos Aires. Bo jakkolwiek obraz teatru, w którym występowała gościnnie Maria Guerrero, był mniej rozległym i mniej bogatym, dostarczył mi on wrażeń, które będą najmilszem wspomnieniem mego życia.

Ach! jak dobrze rozumiem teraz, dlaczego na przedstawieniach dramatów gasi się światło na sali. Zwyczaj ten, który podobno pochodzi z Północy, wydawał mi się zawsze absurdem w Hiszpanji i we Francji. Kiedy można oglądać te rozkoszne twarze, te kuszące uśmiechy, te czoła olimpijskie, te delikatne kształty kocie; kiedy w tych iskrzących się źrenicach można śledzić wrażenia, jakie w duszach wiosennych wywołuje perypetja tragedji; kiedy można się upajać urokiem rozsiewanym przez tyle młodych piersi, jest zrozumiałem, że nawet siła Ajschylosa nie zdołały powstrzymać nas od tego by odwracać oczy od sceny.

„Ty, która odwracasz świętego od jego nabożnych myśli" — mówi asceta — „ty, która będąc czystą, wiedziesz do grzechu, bądź przeklęta". A ja do tych śniadych dziewcząt, które jak ikony świecą w półcieniu lóż, mówię: „Bądźcie błogosławione, siostry, mimo, że przez was popełniłem grzech odwracania oczu od misterjów sceny; bądźcie błogosławione, mimo, że wprawiłyście w zamieszanie moją duszę; bądźcie błogosławione, bo wzbogacenie muzeum moich wizji kilku boskiemi obrazami, które nie więdną".

Mój przyjaciel mówi:

— Gdyby pan był to widział dawniej, kiedy tylko nasza arystokracja zajmowała loże!... O tak, wtedy można było powiedzieć, że niema na świecie nic tak dystyngowanego.

— Jak to? a teraz nie? — pytam zdumiony.

— Teraz w wielkie nasze teatry wtargnęły nowe warstwy społeczne, które niedoruwnują dawnym ani pod względem smaku, ani pod względem piękności. Szczególnie w „Teatrze Kolumba" zauważa się tę różnice. Jeszcze kilkanaście lat temu wieczory abonamentowe były w tym teatrze właściwie tylko zebraniami rodzinnemi. Dzisiaj... Pan sam widzi...

PORTRET DAMY Z ARYSTOKRATYCZNEGO TOWARZYSTWA W BUENOS-AIRES

— Widzę jedynie wspaniałe dziewczęta, które wprawiają w szał...

— Tak jest... To umieją... A wie pan, kim są te kobiety, które wprawiają w szał swemi spojrzeniami pełnemi tęsknoty, swemi wargami zbyt czerwonemi, swemi łamliwemi i nerwowemi linjami i egzotycznem złotem swych włosów? Wie pan, kto to jest? To są intruzy, tak, intruzy, które w naszym kraju nie mają korzeni, córki wzbogaconych emigrantów, które w swym domu rodzinnym słyszą jeszcze język włoski, niemiecki lub rosyjski... Ubierają się dobrze, owszem... Są bogate i co rok jeżdżą do Paryża... Są przyzwyczajone największą wagę przykładać do przepychu, do bogactwa, do złota... Lecz nie posiadają manier i nie posiadają naszej rodzimej piękności kreolskiej. Nie razi to może cudzoziemców, ale my patrzymy na to z melancholją. Rozglądam sę wokoło.. Nie umiałbym panu podać nazwisk połowy rodzin, które dzisiaj zajmują te loże. Co chwila dostrzegam nowe

fizjonomje. Czyżby to były przejezdne cudzoziemki? Tak pytam samego siebie. Lecz nie. To są kobiety wzbogacone, niedawno przybyłe z jakiegoś miasta prowincjonalnego, w którem ojcowie ich zrobili majątki.

— I cóż stąd, skoro są piękne i eleganckie?

— Naturalnie! — szemrając mówi mój przyjaciel. — Pana to nie obchodzi, ale nas, Argentyńczyków, bardzo obchodzi.

— Przecież to ma miejsce wszędzie.

— Tak... Lecz gdzieindziej to mieszanie się warstw ogranicza się do spotkań w teatrze lub na modnej plaży, a u nas, gdzie pieniądz jest największą potęgą, rzecz idzie tak daleko, że te kobiety nieznane będą za rok wiozły w swych autach córki najznakomitszych naszych rodzin.

„TEATR KOLUMBA" W BUENOS-AIRES

By zakończyć tę rozmowę, milczę. Bo jakież to może mieć znaczenie, że niektóre z tych kobiet są parwenjuszkami, skoro będąc niemi, umieją być piękne, miłe i eleganckie?...

Renan powiedział, że piękność jest cnotą. Ja chciałbym powiedzieć memu przyjacielowi, że piękność jest także arystokracją.

Z hiszpańskiego przełożył J. K.

HELENA V ACARESCU

O ZAPŁACZ

O zapłacz trochę na twym smutku wsparta
Ty miłości samotna, milcząca wieczyście,
Ty, przez świat pogrzebana, Ty, wspomnień nie warta...
O jak wiatr rwie i szarpie osłabione liście!
Drzewa chylą się, garbią i jęczą w poświście!

Ja jedna mam nad Tobą litość, o żałości,
nad którą obojętnie w dal obłoki biegną,
cudzoziemka coś przeszła wśród zebranych gości
unosząc w ręku suknię wytartą i biedną, —
a gdzieś poszła, gdzieś znikła, było wszystko jedno...

Ja tylko znam twój sekret strzeżony zazdrośnie
o daremnie żyjąca samotnico blada...
— Wicher wlecze krzyk grozy od lipy ku sośnie
i od sosny ku brzozie, i w trawę z nim pada:
„Zamilczcie! Cicho! Miłość! Jesień! Zdrada!"

Tłom. M. PAWLIKOWSKA

MIŁOŚĆ

Może głos twój, tęsknotą stuleci spowity,
Wzrok, sycony słodyczą i pełen pokory,
Może ranne na licach rumieńców rozkwity,
I uśmiechów południa, i westchnień wieczory,

Może twoje to ręce i twoje ramiona,
Twoich włosów niepokój, i możeś ty cała,
Jak wołanie o pomoc, jak skarga stłumiona
Poprzez lata i dale wciąż na mnie wołała?

I, na głos twój, z pośpiechem zdążając przez życie,
Głodem szczęścia trawiony i pustką lat wielu,
Otom przyszedł, i stoję zdyszany, w zachwycie,
Jak wędrowiec, co wreszcie dobiegnie do celu.

Teraz przymknąć powieki i paść na kolana
Przed jasnością, co zstąpi z rozwartych podwoi:
— Oto miłość, jak manna na puszczy zesłana,
Ona głód twój nasyci. — Lecz serce się boi.

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

VOLTAIRE ZAKOCHANY

(Z odczytu p. A. Bellessort)

Madame du Châtelet nie była pięknością. Przyjaciółki mówiły o niej jako o olbrzymie, a mówiły to złośliwie. Chodziło im o to, że markiza miała olbrzymie ręce i olbrzymie stopy, że miała grube ramiona i grube łydki, że była „cudem siły i niezgrabności". Jeśli temu olbrzymowi przypisywały cechy małości, to były to: małe oczy, nierozwinięte piersi i biodra. Wprawdzie p. André Bellessort, który niedawno wygłosił w Paryżu kilka odczytów o Voltairze, starał się uwolnić Emilję du Châtelet od zarzutów brzydoty, wyprowadzając je z zawiści kobiecej i przeciwstawiając im męskie świadectwo portrecistów, jednakże faktem jest, że Nattier sprytnie ukrył ręce portretowanej...

Madame du Châtelet nie była pięknością, była jednakże jedną z najciekawszych dam francuskich XVIII wieku. Pod względem rozległości zainteresowań nie miała rywalki. Interesowały ją spódniczki, klejnoty, bale, opera, literatura, a naukom ścisłym poświęcała studja gruntowne i niepozbawione samodzielności umysłowej. Namiętnie grała, śpiewała i tańczyła. Ale miała okresy, w których równie namiętnie oddawała się pracy naukowej, a wtedy z wyjątkiem krótkich przejażdżek konnych dzień cały i niemal całą noc spędzała na czytaniu i pisaniu. Nazywano ją „lady Newton", bo fizyką zajmowała się ze szczególnem zamiłowaniem. Kiedy Akademja Francuska ogłosiła konkurs na pracę o naturze ognia, wzięła w nim udział i, jakkolwiek nagrody nie otrzymała, praca jej przeznaczona została do druku.

To połączenie zainteresowań życiowych z zainteresowaniami umysłowemi czyniło ją podobną do Voltaire'a i ono niewątpliwie zwróciło ku niej uczucia pisarza, który mówił o sobie:

Tout les goûts à la fois sont entrés dans mon âme.
Tout art a mon hommage et tout plaisir m'enflamme...

Czy to samo zwróciło żonę markiza du Châtelet ku Voltairowi? Może. Ale... Markiza była ambitną. Markiza marzyła o sławie pośmiertnej. Mówiła: „Niezawsze przyznajemy się do tego, że chcielibyśmy, ażeby mówiono o nas jeszcze wtedy, gdy nas już nie będzie; lecz pragnienie to leży zawsze na dnie naszego serca. I nie bez powodu przyjaciółki jej twierdziły, że wybrała ona Voltaira, aby jako jego kochanka uzyskać nieśmiertelność.

M-me du CHATELET
(według Nattiera)

Stosunek trwał szesnaście lat. Początkowo skarżył się Voltaire na swą kochankę:

J'avouerai qu'elle est tyrannique:
Il faut pour lui faire la cour
Lui parler de métaphysique
Quand on voudrait parler d'amour.

Pan Bellessort powątpiewa w szczerość tej skargi; twierdzi on, że słowa te podyktowała poecie strategja miłości, nie pozwalająca kochankom ujawniać swych natur w pierwszych zapasach miłosnych. Zdaniem conférenciera M-me du Châtelet była tą, która wnosiła w związek namiętnoćć, podczas gdy Voltaire dawał tylko esprit.

Voltaire był o dwanaście lat starszy od swej kochanki. Kiedy wiek, choroby i przesyt erotyczny zmusiły go ograniczyć miłość do przyjaźni, M-me du Châtelet cierpiała i płakała. Aż łzy markizy osuszył młodemi ustami oficer i poeta, Saint-Lambert. Kiedy pewnego wieczora zastał go Voltaire przy Emilji urządził gwałtowną scenę. W nocy przyszła do niego Emilja, usiadła na jego łóżku i tłumaczyła mu, iż nie może obejść się bez miłości. Kiedy nazajutrz Saint-Lambert zaszedł do Voltaira, aby dowiedzieć się o stanie jego zdrowia, został przyjęty uściskiem.

— Moje dziecko, — mówił filozof — nie miałem słuszności. Pan jesteś w szczęśliwym wieku, w którym można kochać i podobać się. Chory starzec, taki jak ja, nie jest do roskoszy. Róże są dla pana, dla mnie są ciernie.

Saint-Lambert zbierał róże tak chciwie, że wkrótce Emilja zmuszona była wyznać Voltairowi, iż spodziewa się dziecka. „Umieścimy to dziecko w rzędzie naszych dzieł mieszanych" — miał odpowiedzieć Voltaire.

Poród był nieszczęśliwy. Madame du Châtelet umarła. Złamany bólem opuszczał Voltaire jej pokoje.

O śmierci Emilji mówił Voltaire z wielką boleścią. Mówił, że stracił nie kochankę, lecz duszę, która stworzona była dla jego duszy. W nocy zrywał się z łóżka i jak upiór krążył po mieszkaniu. Nieliczni przyjaciele, którym wolno było odwiedzać go w tym czasie, zastawali go stale w płaczu i szlochach.

Te objawy boleści nie trwały długo. Minęły szybciej niżby pozwalał to przypuszczać zewnętrzny ich patos. Czyżby niestałość? Podobno tylko siła filozofji.

EROT

Paryż, w kwietniu

Romantyk

Wiosna. Okno otwarte szeroko, wiatr niesie ciepły oddech zoranej ziemi i rozkwitających pąków na drzewach. Biała muślinowa firanka trzepoce, wydyma się i skręca w radosnych pląsach, wesoło skrzypią zawiasy okien, a na szybach słońce i niebo, refleksuje światłem i kolorem.

Pod oknem stoi maleńki stolik z czeczotu, na nim kula białej włóczki.

Pani mrużąc zaróżowione powieki kończy ciepły zimowy sweter.

Ptaki z ćwierkaniem zerwały się z dachu i zakreśliły ogromny łuk nad domem, jeden z nich w locie zaczepił skrzydłem o ramę okna i z krzykiem przerażenia pofrunął dalej.

Anemiczna pani podniosła głowę i oczami zupełnie niebieskiemi w oprawie jasnych rzęs spojrzała przez okno. Biała kula włóczki potoczyła się po ziemi aż do drzwi, szydełko z brzękiem upadło na posadzkę. Pani otworzyła szeroko drzwi na taras. Nad nią było niebo ogromne, czyste, koloru ceroleum z kłębami różowiejących obłoków, a pod nią ziemia brunatna, rozpęczniała od deszczu i tajemniczo pulsująca rodzącem się życiem wewnątrz.

Wiosna idzie. Gdzieś zdaleka zaterkotał motor aeroplanu. Pani przechyliła w tył głowę i przysłaniając dłonią oczy, odszukała go wzrokiem. Biały dwupłatowiec ostro przeciął na ukos niebo, później spadł kilka metrów w dół i nagle zupełnie blisko rozbłysł w słońcu, jak olbrzymi srebrny owad i z triumfującym warkotem zerwał się wysoko, a później zginął w obłokach.

Na ziemi i niebie zrobiło się zupełnie cicho.

Pani w zamyśleniu o wszystkiem uśmiechnęła się przyjemnie, a pod wełnianą suknią drgnęło małe wrażliwe serce, zaróżowiły się mocniej usta i drobna sylweta stężała w niespokojnym ruchu tęsknoty za czemś, co nie da się określić, ale najbliższe jest jednak ogromnej, nowej, odradzającej miłości i mnóstwa ślicznych wiosennych sukienek.

*

* *

Wiosenny, niebieski zmierzch. Mokre od deszczu trotuary wysuszył wiatr ciepły. Pachna na rogach ulic kwiaty w koszykach, a ogromne lampy łukowe rzucają dalekie smugi światła. Z otwartej małej restauracji buchnęło gorąco, gwar pijackich głosów i gminna muzyka.

Pani szła wolno, zawinięta w czarny, matowy płaszcz. Pod maleńkim kapeluszem z haftowaną woalką bieliła się drobna twarz o ładnie wydłużonym owalu. Z pod sukni połyskiwały w świetle lakierowane pantofle, na szarej, cienkiej pończosze.

Pani przyjechała wczoraj do miasta po wiosenne sprawunki.

Teraz chce zobaczyć jak wygląda to duże miasto wieczorem. Pierwszy raz jest tak zupełnie sama i cieszy się, że niema koło niej męża, ani nikogo z rodziny. Czuje jakiś obcy jej dotąd przypływ energji i chęć ostrzejszych wrażeń.

Przez pięć lat pożycia z mężem była przywiązana i miła, poprostu „une femme modèle" — przykład na całą okolicę — a właściwie zgaszona i bardzo anemiczna, stale senna, znużona, niechcąca niczego bardzo. Dziś pierwszy raz jest w dużem mieście zupełnie sama, przyjechała po nowe suknie na wiosnę. Mąż musiał zostać na wsi, tak się jakoś dobrze stało. Mimo narzekania na brak dochodów z majątku, Michał dał jej dużo, dużo pieniędzy i prosił żeby wracała jaknajprędzej modna i śliczna. Uśmiechnęła się na wspomnienie męża: rosły, czerwony chłopak, dobry i naiwny, lubiący z jednakowym uśmiechem ją, konie, psy, stary piękny dom w oprawie par-

ku i setki włók doskonałej ziemi. Nuży ją trochę ten bezkrytyczny sentyment do wszystkiego co związane z jego wsią i nazwiskiem, jednak miły jest bardzo, szkoda tylko że w stronę miasta patrzy stale z niedającym się wytłumaczyć brakiem zaufania. A teraz pewnie przed ich dużym, białym domem o prostej empirowej fasadzie dokazuje z psami jak dzieciak i śmiejąc się głośno dwoma rzędami zdrowych zębów, obiecuje wyżłom, że pani wróci niedługo modna i śliczna.

A pani nie chce zaraz wracać, bo poczuła wiosnę i koniecznie chce czegoś, z czego nie zdaje sobie dokładnie sprawy. Zatrzymała się teraz w potokach światła płynącego z dachu, były to ogromne litery świetlne, reklamujące nową markę automobilu. Zamrugała zmęczonemi powiekami i poszła dalej.

Teraz chyba wróci do hotelu, zmienić suknię, a później pojedzie do Opery, a potem... Stanęła przed jaskrawym plakatem dancingu... — „a może na dancing... no nie, to już trochę za ostro!" — i roześmiała się do siebie głośno.

W hotelu, w którym mieszka, jest podobno najszykowniejszy dancing. Była tam kiedyś z mężem. Gdyby iść jednak, nikt jej przecież nie zna, wszystkie znajome panie z jej towarzystwa, nawet te najbardziej „serjo", w chwili szczerości, przyznawały się do różnych awanturek, a szczególniej zagranicą, tam już każda poczuwała się poprostu do obowiązku. Dlaczego tylko ona nic i zawsze nic?...

Pani wraca do hotelu. Przystanęła chwilę przed wejściem do dancingu.

Nagle rozwarły się szklane drzwi i buchnęła gorąca, egzotyczna muzyka jazz-bandu. Schody zasłane suknem koloru najczystszego cynobru.

Wolno, mierząc każdy krok, schodził pan z doskonale wygoloną twarzą, o włosach zaczesanych wtył głowy i we fraku o przesadnej linji, ostatniej kreacji wielkiego miasta.

Biały kwadrat koszuli, białe jedwabne pończochy przy ostro zwężających się spodniach u dołu — wreszcie idący za nim w ślad ogromnego wzrostu negr, z laską swego pana, cylindrem i czarną peleryną na białej podszewce.

Wszystko to było wytrzymane od stóp do głowy w linji najwspółcześniejszego komfortu.

Każdy gest pana i murzyna miał dyskretną rytmikę i miękość. W zestawieniu tych dwojga ludzi było coś bardzo niepokojącego.

Przy zejściu z ostatniego stopnia schodów, murzyn tanecznym ruchem zarzucił na ramiona pana czarny płaszcz i podając jedną ręką laskę, a drugą cylinder, zbiegł szybko do rozwartych drzwi i cicho gwizdnął w ciemną przestrzeń ulicy.

Z szeregu stojących pojazdów zawarczał silny motor i pod oświetlone drzwi hotelu podjechała spokojnie czarna, połyskująca limuzina z dyskretnie umieszczonym herbem na drzwiach.

Otwierając automobil, negr powiedział szeptem kilka słów do pana, na co ten śmiejąc się pogardliwie rzucił:

— Kobiety w tym kraju mają dystynkcję i biżuterję — midinetek!

Anemiczna pani łakomie obserwowała każdy gest gentelmena z murzynem, a długo patrząc za odjeżdżającymi miała na twarzy martwiejący uśmiech zachwytu.

* * *

Pani trzyma w cienkich palcach kieliszek i śmieje się wesoło w stronę pana, z którym siedzi w dużej, białej sali dancingu. Pani pije dużo wina, dziś lubi bardzo wino, lubi orkiestrę jazz-bandu, a najwięcej pana, który, mówiąc jej wiele miłych rzeczy, oczy ma płonące tak dziwnie, że pod cienką, białą skórą pani, anemiczna krew zaczyna pulsować inaczej niż zwykle. Zapachniały nagle na stole ogromne, czerwone róże, które pan kazał podać. Kobieta zanurzyła białą twarz w kwiatach i leciutko drgającemi nozdrzami piła świeży zapach. Z poza rzęs oczy połyskiwały jak cenna, perska emalja, a po obu stronach wydłużonego owalu paliły się błękitnym płomieniem dwa ciężkie, bardzo duże brylanty w odsłoniętych uszach. Jasne włosy, zaczesane zupełnie gładko w tył i związane w ogromny węzeł na giętkim karku. Z szyi aż do pasa zwisał długi sznur cennych krągłych pereł, spiętych antyczną klamrą ze szmaragdów.

Gentelmen patrzył z dużem uznaniem na anemiczną i wytworną panią, chętnie spostrzegał, że wino, muzyka i jego słowa zapalają pod skórą kobiety ognie i na bladej, spokojnej twarzy rozkwitły usta na kolor zupełnie czerwony.

Przez całe, niedługie życie pani nikt jeszcze dotąd nie podobał się jej tak bardzo, jak ten człowiek poznany zupełnie przygodnie na sali w dancingu. Jak to się stało nie pamięta nawet dokładnie, zdaje się, że nie było wolnego miejsca i ten pan uprzejmie zaproponował własny stolik. Jest świetnie wychowany i znacznie wię-

cej ma opanowania i rezerwy, niż panowie, których poznawała bardzo oficjalnie w salonie.

To dziwne jednak... bo jest to ten młody człowiek, którego widziała dziś, idącego z murzynem po schodach dancingu.

Czyżby naprawdę przeznaczenie?

Widywała dotąd takich panów tylko na stronicach pism zagranicznych, rysowanych wytworną kreską, przeważnie na tle kasyna, wyścigów, a zawsze w towarzystwie strojnych kobiet.

Na wsi, przeglądając francuskie pisma, odczuwała wprost dotkliwą tęsknotę za takim bardzo zachodnio-europejskim człowiekiem — i oto dziś... poprostu jak z powieści.

Muzyka gra gorące tango argentyńskie. Kobieta, oparta na ramieniu pana tańczy giętko i harmonijnie. Zagarnął ją ramieniem ku sobie, zupełnie blisko, na twarzy uczuła gorący oddech i słowa pełne zachwytu dla jej urody. Pali wprost na nagich plecach jego sucha, mocna ręka i nagle nad ustami poczuła upajające bardziej niż wino, niż słowa — jego usta.

* * *

Odszedł. Śpieszył się, bo chciał odejść, zanim ona odzyska zupełnie przytomność, chciał ją zachować w pamięci szaloną i cudowną kochankę, bał się tej koniecznej refleksji, którą dzień przynosi kobiecie i dla tego świt nie powinien ich zastać razem.

Mówił, że dziś jeszcze wyjeżdża do Hiszpanji, uregulować sprawy majątkowe, wróci niedługo, ale tylko po to, żeby ją zabrać ze sobą, a wtedy zacznie się nowe bujne życie. On czuje dobrze, że z jej poznaniem nastąpi jakiś ważny zwrot w jego życiu, dziś zaczyna rozumieć samo słowo „miłość" — każda litera jest mu bliska i mądra.

Taki zupełnie współczesny, taki wyrafinowany, a mówi jak sentymentalny romantyk.

Pani słuchała coraz bardziej wzruszona jego słowami. Trochę jej żal Michała, jak przez mgłę widzi bielony hall z kolumnami i słyszy radosny śmiech, który echem idzie przez puste korytarze, a odpowiada mu wesołe ujadanie psów, wspinających się do drzwi. Szkoda Michała — też bardzo ją kocha, tylko jak nieskończenie mniej interesująco, wprost nudno!

Teraz jest dzień, a ona niema przykrych refleksyj, żadnego niesmaku — przeciwnie, pani raz jeszcze przeżywa każde słowo, każdy gest i pocałunek, a ta jego szlachetna prostota i wdzięk, kiedy prosił, żeby zrzuciła wszystkie świecidełka, które ma na sobie, bo nie chce całować klejnotów, co przypominają mu miłość jej męża!

Pamięta jak ślicznym ruchem zrywał z jej szyi perły i nerwowo odpinał kolczyki z uszów, a później z pogardą rzucał na toaletę, gdzie leżały róże od niego, cylinder i laska.

Pani przeciągnęła się długo, leniwie. Chce zadzwonić na pokojówkę, ale musi koniecznie uprzątnąć suknię, leżącą na dywanie.

Wtaje wolno i pochyla się nad ziemią. Czarna suknia, zmięta i rozdarta koronka. Wachlarz złamany. Pani uśmiecha się i całuje w tem miejscu, gdzie pióro było pęknięte. Pamięta — zębami rozgryzł je, gdy zasłaniała mu swoje usta.

— Jakie śliczne kwiaty i więdną!

Pani tkliwie zbiera róże z dywanu i toalety.

— Tu rzucał perły z jej szyi — niema ich!

Pani uśmiecha się ciepło.

— Gdzieś musiały upaść, kolczyki także i portfel z czarnego jedwabiu, pełen pieniędzy. To wszystko musiało zsunąć się na posadzkę.

Niema... to dziwne! No — musi być przecież! Pamięta dźwięk padających pereł na szkło toalety. — Niema na dywanie — nigdzie niema. — Co to znaczy? Po wyjściu jego nie spała, nie było nikogo w pokoju.

W głowie jeszcze szumi reszta wina i dzwoni kilka taktów tanga, tych kilka taktów zaczyna wprost huczeć w uszach, coraz mocniej i jakiś lęk, zdziwienie ponad wszelką miarę.

— Czyżby? — Nie to nieprawda, to nie mogło być! — krzyknęła nagle i drobna, anemiczna pani zatoczyła w powietrzu rękoma ogromne koło i padła na dywan. Jak przez sen zawołała — Michał — i wyciągnęła w przestrzeń dwie drobne, białe dłonie i poczeła głośno, rozpaczliwie płakać jak dziecko.

Wiatr odchylił storę przy oknie i niósł do pokoju zapach fiołków sprzedawanych na ulicy, wrzaskliwy głos chłopców, roznoszących gazety i monotonny, rytmiczny oddech budzącego się miasta.

IRENA POKRZYWNICKA

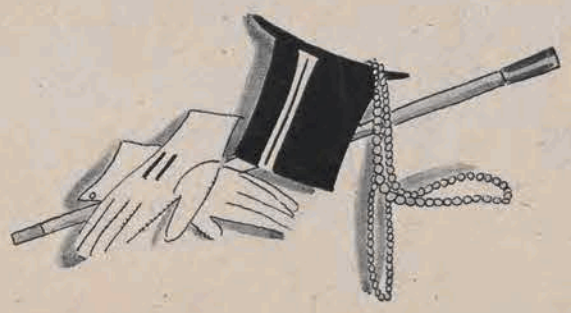

UNIWERSYTET PIĘKNOŚCI

Cudzoziemki, przyjeżdżające do Paryża, nie omieszkują zaopatrzyć się na wstępie w Baedeker albo Guide Bleu. W tej czerwonej lub niebieskiej nieomylnej książce znajduje się „program zwiedzania stolicy" ustalony i nieodwołalny — jak obrzęd religijny. Turystki wszystkich krajów i narodowości stosują się do niego ze wzruszającą uległością. Posłusznie daje się zawieźć do muzeum Luwru, gdzie w przeciągu kilku godzin „czterdzieści wieków na nie patrzy". Płaskorzeźby Chaldei i Assyrji, tajemnicze bóstwa Egiptu, słodycz Wenus Milońskiej, enigmatyczny uśmiech Giocondy, zachód słońca Lorrain'a, klasyczne kształty Ingres'a i gorący koloryt Delacroix zlewają się w ich wyobraźni w jeden fantastyczny obraz. Fantastyczny i chaotyczny jak pierwszy dzień stworzenia, ale one się tem nie zrażają. Cierpliwie oglądają w Cluny stare rzeźby i relikwiarze, królewskie karety i staroświeckie, prześliczne koronki, pobożnie klękają w ponurej nawie katedry Notre Dame, której witraże podobne są w mroku do rozsypanych gdzieś w górze migotliwych klejnotów. Skupione, ciche stają w cieniu Łuku Triumfalnego, gdzie u grobu Nieznanego Żołnierza płomień, którym wiatr szamoce i targa, nieustannie dniem i nocą się pali... Ale, gdy niestrudzone i powolne zarządzeniom Baedekera turystki zwiedziły i obejrzały wszystko, wieczory spędziły w teatrach i music-hallach, pewnego pięknego dnia oznajmiają swą wolę: „A teraz jedziemy do Uniwersytetu Piękności". I, jeżeli ta decyzja spotyka się z protestem, odpowiadają spokojnie, z powagą i słodyczą, jaka cechuje niezbite prawdy: „To jest największa atrakcja Paryża. Nie możemy się jej wyrzec".

Uniwersytet Piękności (Université de Beauté) znajduje się na Avenue des Champs Elysées. Na wielopiętrowej kamienicy złoci się jedno magiczne słowo: „Cedib". Uniwersytet ten niczem nie przypomina Sorbony, ani wszechnic Krakowa czy Oksfordu. Wiedza tam wykładana ma dużo powabu i wdzięku, naukowe pewniki, jakie podaje, są pożądane i radosne. Słyszy się tam słowa, które krzepią i koją. „Czy kobieta musi się starzeć? Nie, — starzeje się tylko wtedy, gdy się na to godzi. Dopóki jednak chce być młoda, dopóki chce się podobać, może stanąć do walki z latami, ze swoim wiekiem i wyjść z niej zwycięsko. Duch oddziaływa na materję. A przytem trzeba pielęgnować urodę..." I następują cytaty mędrców, wybitnych kobiet: „Prawdziwą wiedzą kobiety jest umieć być piękną" (P. Commère). „Piękność to potęga" (M-me de Rémusat). A wszystko to jest głoszone w eleganckim salonie, dookoła którego w oszklonych szafkach biegną rzędy kryształowych czar, pełnych pudru, niby gama delikatnych, tęczowych odcieni. Na flakonach, równolegle ustawionych, złocą się wymowne etykietki: Józefina, Eugenja, Kleopatra, Fryne! Te ozdobne flakony zdają się zawierać tajemnicę i czar owych dalekich ewokacyj kobiecej piękności. Fryne... Czy może być lepsza ilustracja do słów p. de Rémusat: „Piękność to potęga". Ile zwycięstw ta potęga odniosła! Pierwsze datuje się z IV w. przedchrześcijańskiej ery. Fryne, jak wiemy, oskarżona o bezbożność, co pociągało karę śmierci, została uniewinniona. Heliaści jednogłośnie orzekli, że nie wolno ludziom niszczyć doskonałego piękna, którem Bogowie, w dobroci swojej, obdarzyli świat. Drugi triumf Fryne, to sam fakt, że jej imię poprzez stulecia dotarła do nas. Tyle wydarzeń historycznych zapomnianych, tyle nazwisk niegdyś świetnych zatartych w pamięci ludzkiej! Fryne w aureoli piękności zdaje się być nieśmiertelna. Któż nie wie, że urodziła się w Beocji i że była czarowna. I biada temu, ktoby chciał przeczyć tak ustalonej i drogiej wszystkim tradycji. Przekonał się o tem francuski uczony p. Paweł Girard. Znakomity ten archeolog w rozprawie pełnej erudycji, starał się dowieść, że nie piękność była przyczyną uniewinnienia Fryne, lecz że ta słynna Greczynka, niezbyt już młoda, wybłagała, wymodliła sobie życie u ateńskich sędziów. P. Girard powiada: „w chwili procesu lata nagromadzone zaczynały już ciężeć nad jej głową. „Fryne", gdy trwoga rzuciła ją do stóp sędziów... ze łzami ściskała twarde dłonie, w których jej los spoczął".

Uczone wywody p. Girard wywołały bezgraniczne oburzenie w całej Europie. Autor sam to opowiada w przedmowie pełnej humoru i poezji do studjum swego: „Hypérides et le procès de Phryné", i zwracając się do Fryne, której składa wizytę na polach Elizejskich (nie paryskich, lecz na prawdziwych...), tak mówi: „Zarzucono mi, że profanując twoją pamięć, zniszczyłem jedyną przyczynę, dla której wielu z nas kochało jeszcze Grecję, tę Grecję, o której studja zatruły nam młodość... Po cóż zatem było więdnąć nad książkami? Nazwano mnie „starą żmiją w okularach", której radość sprawia bryzgać swoim jadem na wszystko co piękne". I p. Girard kończy gorącym hymnem na cześć Fryne: „Ach Fryne... ty jesteś z tych, które za życia uprawniają wszystkie szaleństwa, a potem — wszystkie złudzenia... ty jesteś wieczna i nigdy nie miałaś — trzydziestu siedmiu lat!"

Taką to potęgą jest piękność i tak niewolnie ulegają jej ludzie; ona jedna, z pośród władz, nie zna granic i poddanych swoich ma wszędzie.

Opowiadają o p. Récamier, że, gdy raz chłopak z cukierni z tacą ciastek na głowie mijał jej powóz i nie stanął w osłupieniu i zachwycie, p. Récamier wróciła smutna do domu pod wrażeniem klęski, jaką jej uroda poniosła. Gdyby urocza ta pani żyła w naszej epoce byłaby niezawodnie bolesną klęskę znacznie opóźniła.

Szczęśliwsze od niej córki XX w. mogą korzystać z postępów dobroczynnej wiedzy, prawdopodobnie też tego nie zaniedbają. I przekonają się jak słuszne są słowa pani d'Arconville, uwiecznione również w Złotej Księdze Uniwersytetu Piękności: „Największą zasługą kobiety w stosunku do mężczyzny jest być ładną i największą jej nagrodą jest z ust męskich to słyszeć".

Paryż *STANISŁAWA HULANICKA*

MARY PICKFORD
w filmie „Tess z krainy burz", który ukaże się na jesieni w Warszawie

Za kulisami ekranu

W roku bieżącym świat cały, a głównie kolebka kinematografji — Francja, obchodzi uroczyście trzydziestą rocznicę istnienia kina. Czy w roku 1895, kiedy w suterynie dziś już nieistniejącej kawiarni paryskiej „Grand Café" bracia L. i A. Lumière demonstrowali wobec nielicznej garstki entuzjastów pierwsze zdjęcia kinematograficzne, które nie były wówczas niczem innem, jak tylko ruchomą fotografją, mógł kto przewidzieć, do jakich potężnych rozmiarów, do jakich możliwości dojdzie z czasem ten dział niemej sztuki?

Dziś, po latach trzydziestu, liczba ludzi niechętnych, zgóry uprzedzonych i negujących wartość artystyczną kina, stale maleje, natomiast mnożą się szeregi tych, dla których kino jest nietylko rozrywką, lecz przedewszystkiem moralnym pokarmem dla duszy, zwierciadłem życia i chwilą zapomnienia o szarej rzeczywistości.

Kino, nie znające granic, ani przestrzeni, ani czasu, dla którego wszystkie niemożliwości są możliwe, które w swym triumfalnym pochodzie obejmuje świat cały, zdumiewa, czaruje, zachwyca i zniewala do podziwu miljonowe rzesze swych newolników, którymi są jego wielbiciele.

Film, z jednakową siłą przemawia do wszystkich i będąc dla wszystkich zrozumiały — jest łącznikiem psychicznym, spajającym wszystkich ludzi w jedną rodzinę. Międzynarodowość kina polega jeszcze i na tem, iż wszelkie arcydzieła i nowe zdobycze powstają dzięki wspólnym wysiłkom przedstawicieli różnych narodowości. Niejednokrotnie spotykamy obrazy filmowe, w których ugrupowanie narodowości, biorących udział w jego wykonaniu (wytwórnia, reżyser, aktor), przedstawia istną wieżę Babel. Dla jednych wystawa, dla drugich treść, dla jeszcze innych koncertowa gra zespołu stanowi o najważniejszych zaletach obrazu filmowego.

Kobieta jednak zawsze woli widzieć na ekranie piękne rasowe twarze. Dlatego też udział w filmie pięknej

aktorki lub pięknego aktora stanowi nieodzowny warunek jego powodzenia. Pomówmy więc pokrótce o tych bohaterach ekranu, których nazwiska powtarzane z ust do ust, są znane w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej.

Niewątpliwie tak popularna Mary Pickford czy Pola Negri są dziś bardziej głośne niż niejeden z monarchów lub prezydentów największych mocarstw świata. Ponieważ jednak gusty i upodobania publiczności stale się zmieniają, więc i konstelacje gwiazd i gwiazdeczek na firmamencie filmowym są zmienne. Niezapomniane gwiazdy włoskie, jak Francesca Bertini, Pina Minichelli, Lidja Borelli, Giovanna Thea i inne, których urok osobisty i wielki talent dramatyczny tak nas czarował kilka lat temu, musiały ustąpić miejsca wciskającym się w nasze życie filmowe przedstawicielkom Nowego Świata. Zazwyczaj przypadek, korzystne pierwsze wrażenie, wreszcie niezbędne warunki fotogeniczne — decydują o powodzeniu i sławie. Potem intryga, szumna reklama, zależna od poparcia i wpływów, wreszcie niezbędna ilość sensacyjnych skandali, ślubów i rozwodów warunkują dalszą karjerę. Oto co mówi na ten temat znana aktorka amerykańska Bessie Love: „O ile wiem, jestem jedyną panną w świecie filmowym, o której nigdy jeszcze nie pisano, że jest zaręczona. Postanowiłam zdobyć sobie dziennikarza, który w r. 1925 będzie conajmniej raz na tydzień oznajmiał publiczności, że wyszłam zamąż".

MAE MURRAY
w filmie „Księżna Farinowa"

Amerykańska karjera Poli Negri również zaczęła się od dość oryginalnej reklamy. Otóż po zwerbowaniu jej z Berlina do Los Angelos pomysłowi przedsiębiorcy w ciągu ca-

POLA NEGRI
w filmie „Raj Zakochany"

GLORIA SWANSON
„Pod Biczem ..."

NITA NALDI
Kobieta „Wampir"

łego roku rozgłaszali z odpowiednim hałasem w prasie o jej zaręczynach z najpopularniejszym komikiem amerykańskim, Charlie Chaplinem. Dzienniki były przepełnione wywiadami, wspólnemi fotografjami najróżnorodniejszemi plotkami, tymczasem zaś była to, jak się później okazało, zwykła „kaczka". Cel jednak był osiągnięty i popularność dotąd mało znanej w Ameryce aktorki wzrosła niesłychanie.

Na jasnym, zdawałoby się, i zachęcającym firmamencie filmowym ukazują się często chmury, przeważnie niedostrzegalne dla pochłoniętych gorączką zdobycia sławy, „szałem filmowym". Niewiele jest aktorek, którym wyłącznie potęgą swego talentu i ukochaniem umiłowanej sztuki udało się osiągnąć swój cel. Ale nie poddawajmy się depresji, mówmy właśnie o tych nielicznych wyjątkach, które w ten czy inny sposób zdobyły „to co najważniejsze".

Do tych wybranych, należy przedewszystkiem nasza rodaczka Pola Negri. Pola podbiła Amerykę oryginalnością, temperamentem, typem tak różnym od przeciętnego typu Amerykanki, którego idealnem uosobieniem jest czarująca Mary Pickford, „słodka Mary" — jak ją powszechnie nazywają. Pola Negri, obdarzona nie piękną lecz nadzwyczajnie wyrazistą twarzą o zdumiewającej ekspresji mimicznej, największe pole do popisu znajduje w rolach, gdzie na plan pierwszy występuje indywidualność aktorki jako kobiety. Celuje właśnie w rolach, które pozwalają jej na wyładowanie swego nieokiełznanego temperamentu, a więc w kreacjach apaszek, odalisek haremów sułtańskich, tancerek hiszpańskich i innych w tym rodzaju.

Drugą naszą rodaczką o sławie międzynarodowej, która stała w szeregu najpierwszych gwiazd włoskich

HELENA MAKOWSKA
w najnowszym filmie „Judyta"

jeszcze wówczas, gdy Pola Negri nie marzyła o karjerze filmowej, jest Helena Makowska. Niezapomniana „Gioconda" rozniosła polskie nazwisko pięknej aktorki po całym świecie. Upadek filmu włoskiego i późniejszy udział jej w mniej wartościowych filmach niemieckich był przyczyną, iż w latach ostatnich została zdystansowana przez gwiazdy amerykańskie, chociaż we Włoszech po dziś dzień nic nie straciła na popularności.

Najgroźniejszą rywalką Poli Negri na gruncie amerykańskim jest urodzona z matki Polski i ojca Szweda, Glorja Swanson, od niedawna w życiu prywatnem margrabina de la Falaise de la Coudray. Glorja jest w Ameryce „wyrocznią mody" i dlatego pobiera „tylko" 7500 dolarów tygodniowo. Że tytuł „Paryżanki Ameryki" jej się słusznie należy, świadczą choćby następujące dane, dotyczące sum, jakie wydaje na toalety. Tak więc suma wydawana rocznie przez Glorję na same suknie wynosi 125 tysięcy dolarów; bielizna jej kosztuje 10 tysięcy dolarów rocznie. Glorja Swanson zużywa do jednego filmu przeciętnie 25 par obuwia, a posiada stale 200 kapeluszy.

Że kino, oprócz warunków fotogenicznych, wyrazistej maski, gry oczu i niezbędnej przytem inteligencji, wymaga jeszcze wytworności gestów, elastyczności ruchów i swobody poruszania się, świadczy fakt, iż większość dzisiejszych gwiazd filmowych była poprzednio baletnicami. Nita Naldi, Mai Murray, Betty Compson, Alla Nazimowa i wiele innych święciły triumfy na deskach music-hallów, głównie New-Yorskiego „Ziegfield Follies", skąd zostały zaangażowane do kina.

(D. c. n.)

JERZY BORYCKI

UPARTA MODA PARYSKA

Coś jakby zwycięstwo świeci w oczach tych panów. Znów i jeszcze raz dali sobie jakoby radę z posłuszną ich rozkazom kobiecością. Suknie mają znów wcięte: talja powraca! Tak mówią ci panowie w grande couture. Tak każą pisać w pismach wszystkich krajów. Takie fotografje i szkice rozchodzą się po świecie. I gdzieś pani Jadwiga lub Marja w naradzie potajemnej ze swą krawcową wyniośle tłumaczy jej, że linja prosta jest passée. Wie o tem z samego Paryża.

Ale Paryżanka kpi sobie po cichutku z rozkazów panów krawców. Opowiadając przyjaciółce o kolekcjach modeli, które widziała w salonie mód na Champs Elysées lub rue de la Paix, zaznaczy naturalnie, że „nosi się" obecnie wcięcie, stan, talję, że palto męskie—redingote—wychodzi już z mody, że nosi się bardzo, ale to bardzo szerokie u dołu modele, a i żakiet kostjumu jest już u dołu kloszowy. Ale suknie, palta i żakiety, które obstaluje sobie na ten sezon wiosenny i letni są proste, jaknajprostsze. Mówi się też o dużych kapeluszach. W lecie będą „podobno" eleganckie panie nosić duże kapelusze. Sam Levis wypuścił duże modele. A jednak czy widział ktoś choć jedną elegancką Paryżankę w dużym kapeluszu? Najelegantsze panie nietylko że nie noszą nic innego niż mały kapelusik, ale w dodatku nie zmieniają raz wybranego fasonu i, ubierając się u najwytworniejszych modystek, zmieniają jedynie barwę lub materjał kapelusza lub dodają jakieś „petit rien", które w zupełnie dostatecznej mierze wnosi zmianę w ogólny wygląd ich główek.

Albo szale? Krzyczy się wprost o tem, że szali się nie nosi! A jednak dość jest posiedzieć przez chwilę przy stoliku kawiarni na wielkich bulwarach, by przed oczami naszemi przedefilowały całe szeregi uroczych pań, w męskich paltach, w małych prawie że męskich kapeluszach i jaskrawych szalach na szyi. I tak być musi, bo szale te jaskrawe wnoszą jedyną barwną nutę w całokształt stroju eleganckiej pani, a choć stara się Paryżanka wyglądać na ulicy jaknajbardziej correct, to jednak wie, że taka jedna barwna plama konieczna jest wprost, by podkreślić delikatność jej cery, blask jej oczu, karmin ust.

Więc nic się nie zmienia? Nie, tego nie można powiedzieć. Powoli, powolutku głos czasu szeptać poczyna do ucha ciekawej Ewy paryskiej że należałoby spróbować to lub owo. Więc przedewszystkiem kostjum sportowy o ile w kolekcjach jesiennych dopiero zaczął się ukazywać, o tyle jest dziś poważną częścią składową każdej kolekcji i niezbędnym w szafie eleganckiej damy. Nie znaczy to bynajmniej, aby każda elegancka Paryżanka używała sportu. Ale już same wycieczki automobilowe wymagają praktycznego stroju, a pozatem trzeba go mieć, aby móc być tam gdzie się sporty uprawia. A więc spotyka się w Bois amazonki, które nigdy jeszcze konia nie dosiadły, a na zimowym sporcie widać było panie bez nart lub saneczek, lecz w spodenkach. Zresztą w Zakopanem było zapewne tout comme chez nous. Nie należy zaś na tę modę narzekać, bo ubiór ma podobno siłę sugestji a zatem piękne panie zechcą może z czasem swe gusta sportowe wprowadzić w czyn.

Pozatem jeszcze coś niecoś nowego, może nawet przez te domniemane sporty zrodzonego. Wąska suknia, nie tracąc linji swej, dąży ku umożliwieniu ruchów bardziej swobodnych. W nader dyskretny sposób nabiera szerokości u dołu. Dzieje się to za pomocą plis, plisek i fałd zręcznie zamaskowanych. Pozatem jeszcze pewne nowe szczegóły, jak to szerokie rękawy u nektórych modeli, a nawet małe bufki bądź z tego samego co i suknia materjału, bądź z białego jedwabiu lub linonu. Wogóle białe przybranie sukien i kostjumów, wszelkiego rodzaju żaboty, wstawy, kryzy, falbanki wróciły do zapomnianych przez panie praw. Biała pika, batyst, linon, tiul, układa się, karbuje, faluje, nadając sukienkom i twarzom świeżość i naiwność młodości.

Wogóle Paryżanka dąży obecnie wytrwale do dwóch celów: zachowania linji i zachowania młodości. Poza prostotą sukienek ma temu współdziałać kolor. Tak zwane sportowe sukienki nie są to kostjumy sportowe, a po prostu wygodne skromne sukienki spacerowe, przeważnie z jasnego materjału „casha" w piaskowych odcieniach, przybrane bronzowym lub czerwonym.

Jasny kolor przeważać zaczyna też przy sukniach balowych. Poza wspaniałemi robami z czarnych, złotych i srebrnych koronek, widzi się sukienki balowe z jasnych „mousseline de soie" i „crepe de chine" w bardzo jasnych pastelowych kolorach, błękit barwinka, zieloność wód Nilu, różowość brzoskwiń i nieokreślony kolor „bois de rose", tworzą gamę wieczorowych sukienek. W tańcu rozwiewają się też frendzle i lekko unosi tiulowa falbana, a tu i ówdzie w oko wpada jaskrawość batików lub barwność kwiatów drukowanych lub artystycznie malowanych. Wszystko to jest młode, młode i zapomina się tu potrochu, że kobiety się starzeć mogą. Daremnie by tedy pytano co noszą „starsze panie?" Niema ich poprostu w Paryżu i na tem może polega główny urok tego nigdy nie starzejącego się miasta.

ZOFJA KRAMSZTYK

LIST Z PARYŻA

Paryż, maj 1925

Panie! Piękne Panie! Powiem Wam nowinę, wielką nowinę! — moda się zmienia! — Tak, zmieni się na pewno i jeżeli nie nastąpiło to jeszcze dotąd w każdym bądź razie rychło ujrzymy duże w tym kierunku nowości. Suknie przestaną być równe i proste a ci, których wyrokom poddawać się musimy ulegle, pozwolą nam nawet mieć biodra, byle tylko te biodra nie były za bujne i za wysokie. Cieszcie się więc moje panie, gdyż nie wszystkie jesteście tak gładkie jak deski do prasowania — przeciwnie chyba, wśród czytelniczek „Pani" znajdzie się zapewne wiele takich, których ciało ma linje tak miłe i pociągające dla oka każdego artysty.

U pierwszorzędnych paryskich krawców spotykamy już sylwetki, które mogłyby w nas wywołać prawdziwe zdumienie, gdybyśmy wogóle były jeszcze zdolne do dziwienia się czemukolwiek.

Niektórzy „mistrze" tworzą i nadal suknie krótkie i wąskie aż do przesady, u innych widzimy wprawdzie modele krótkie, lecz rozszerzające się u dołu coraz bardziej, czy to w formie fałdów lub zmarszczek, czy też wijące się kloszowo w kształcie godetów.

Inni wreszcie artyści sztuki krawieckiej wprowadzają toaletę stylową, sięgającą do ziemi, w rodzaju sukien noszonych niegdyś przez wytworne damy z epoki Odrodzenia.

Dzisiaj pomówimy tylko o strojach wieczorowych.

Suknia wieczorowa z crepe meteor w dwóch kolorach. Góra gładka barwy cyklamen, marszczona falbana granatowa, u boku duży srebrny kwiat

Suknia balowa rose saumon. Naszyta marszczona falbana z mousseline de soie. Riusza i spięcie u boku z czarnego mousseline de soie

Suknia balowa z jasno zielonej crepe Georgette. U dołu podwójny klosz. Na ramieniu i u boku spięcia z drobniutkich różnokolorowych kwiatków

Suknia spacerowa z kasha koloru lavande. Przód i dół sukni plisowany, kołnierz, obłożenie u dołu i pasek w tym samym tonie ciemniejsze

Suknia balowa nie jest już na plecach tak głęboko wycięta, jak to bywało w latach poprzednich; powinnyśmy się cieszyć z tej zmiany, miłe czytelniczki, gdyż o ile dekolt może być ładny i powabny, o tyle nagość przeważnie jest brzydka, a zawsze nieprzyzwoita. Mimo wszystko jednak, nie martwcie się panie, dekolt pozostanie jeszcze dostatecznie głęboki. Na plecach widzimy często wycięcie w kwadrat, podczas gdy przód jest prosty; wydłużonych dekoltów już się nie nosi. Natomiast spotykamy wiele sukien z okrągłem wycięciem na plecach i z przodu, przytrzymanych na ramieniu wątłym jeno paskiem z materjału.

Stan pozostaje jak dotąd jeszcze nisko, tylko niezawsze jest równy, to znaczy często zarysowuje się z jednej strony wyżej aniżeli z drugiej, lub też dłuższy jest w tyle i z przodu, a krótszy po bokach. Widziałem też suknie lekko wcięte, zaznaczające, zresztą niewyraźnie i mglisto, naturalną wysokość talji.

Przybranie mało skomplikowane zdobi jeno spódnicę, u góry suknia nie znosi nic prócz ładnego haftu. Ślicznie wyglądają suknie wieczorowe przystrojone na biodrach dużem spięciem, lecz nie tak jak przedtem ze strusich piór, te stały się już zbyt pospolite; dziś zręczna, lekka ręka układa takie spięcie ze wstążki czy tiulu, lub wreszcie z pięknych kwiatów, które są przecież idealną, wymarzoną ozdobą stroju kobiecego.

A wielka nowość sezonu to riusza! — Duża riusza w barwnych tonach u dołu krótkiej spódniczki miłe robi wrażenie, dodaje lekkości i wdzięku, szczególnie przy sukniach balowych.

W przyszłym artykule opowiem wam panie o nowych rodzajach materjałów.

HILLA, z francuskiego tłom. N.

Mały kapelusz z „Bengale" koloru drzewa różanego, przybrany kwiatami z morowej wstążeczki w tym samym tonie

GDY BĘDZIE CIEPLEJ...

Wówczas, miła czytelniczko „Pani", ubierzesz się w barwne materjały, tak barwne i obfite w najdziwaczniej malowane desenie, że kto cię zechce zrozumieć, odczytać, odgadnąć, będzie musiał sięgnąć do zawiłej nauki prastarych alfabetów, do pisma obrazkowego, klinowego, hieroglifów, napisów na grobowcach przedtutankhamenowskich, do babilońskich wykopalisk, do owej perskiej „Frawaszi", pięknie uskrzydlonej duszy, unoszącej się nad grobowcem Cyrusa Achamenidy.

Ale i skromny biedermajerowski bukiecik, rzucony naiwnie na rąbek sukni, na biodro lub pierś, haftowany jedwabiem, lacetem, bawełną lub nawet grubą, sztywną rafią — romantycznie ozdobi sukienkę Pani.

A wreszcie na krepszyfonowej sutej falbanie wymaluje artysta cały ogród róż i zielonych liści, iż przypomni domek szwajcarski, pnące się na nim róże, a może i bajkę o sto lat śpiącej królewnie, do której poprzez różane krzewy przedzierał się królewicz oswobodziciel.

Nie powstrzyma nic Twej bujnej, barwnej, niemal rozhukanej fantazji, która słońcu w jasną twarz krzyczy kolorami, a pyszni się dzikiemi deseniami. Na szarą powszedniość, na chmurną troskę dnia dzisiejszego rzucisz barwy roztańczone w szalonym zespole: czerwień obok zieleni, orange, fjolet, błękit i złoto, wszystko pomieszane w zygzaki, plamy, bicze, koła, pastorały. Rewolucyjna zamieć barw! Anarchja harmonji! Burza wrażeń wzrokowych!

A obok tego biel i koronka, nagłe uciszenie i trwożliwe oczekiwanie niby przed pierwszą komunją.

Bo jednak zawsze, mimo zuchwałej buffonady — w maju kwitną bzy i gdzieś tam w wiklinie słowik śpiewa po dawnemu, jak zawsze włóczy się ta sama poezja po parkach i ścieżkach świeżo wysypanych piaskiem i jak zawsze wiosenna miłość wiersze pisze i smuci się i cieszy byle czem.

Suknia z meteoru koloru orzechowego, falbana z krepszyfonu haftowana w liście i róże. Z przodu suta kokarda

Tok z picot koloru blond. Główka i zęby górą wokół ronda z wstążki gros grain

Suknio zuchwała—pod twoją cieniutką tkaninką bije podobno serce Pani?

Mały sentyment rodzi się tak niewiadomo skąd. Może mu dać wątłe życie nawet witryna sklepowa, w której wielobarwne wstążeczki, niby naciągnięte na harfie struny, chcą śpiewać pieśń o wietrze biegnącym na swobodzie, za szybą. A może te wstążki układają słodkie jak cukier madrygały dla tych oczu, co patrzą na nie tak miłośnie i zachłannie, jak nigdy na nikogo na świecie?

Mam wrażenie, że tak mimochodem i ja ułożyłam wiosenną wiązankę, więc czemprędzej, wstydząc się nawet odrobinę, powracam do stateczności i powagi doradcy prawnego pań. Jest to może tytuł samozwańczy, ale (nie bądźmy skromni!) zasłużony na łamach „Pani".

W tej chwili jednak, gdy tak się pławię w zarozumiałości, stwierdzam, że radzić nie jest znowu tak łatwo, a już zupełnie nie mogę brać za nic odpowiedzialności. Bo cóż poradzę na to, jeżeli któraś z miłych czytelniczek, obdarzona nieco okrąglejszemi kształtami upodoba sobie organdy w kratę i będzie w tem wyglądać mało estetycznie?

To samo grozi tejże nieszczupłej pani, gdy umiłuje pasiaste jedwabie i krepy.

Właśnie tej upośledzonej przez modę, choć nie przez naturę, pełnej wdzięków towarzyszce cierpień radzę unikać wzorów na materjale, unikać obcisłości a życzliwie przyjąć klosz.

Szczupłym paniom wszystko jest dozwolone. Mogą bowiem nietylko odżywiać się w Ziemiańskiej, ale każdą ekstrawagancję, każdy wybryk mody włożyć na siebie. Ich to jest dzisiaj panowanie!

P. Pogorzelska w „Qui pro Quo" usymbolizowała najlepiej stosunek „szczupłości" do sukni. Szczupła pani korzystać może jedynie ze szczupłości materjału i krótkie: „Youp-la" — a czarodziejstwo ubierania się jest dokonane!

Tylko że nasze magazyny zaprotestowałyby niehybnie przeciw takiej samopomocy pań. Wobec tego, nie chcąc ściągnąć na siebie odium firm, nie radzę stosować owego „Youp-la", bo i za skutek nie bardzo ręczę. Nie każda przecież, choćby i najszczuplejsza pani, jest tak zręczna, jak p. Pogorzelska.

NINA

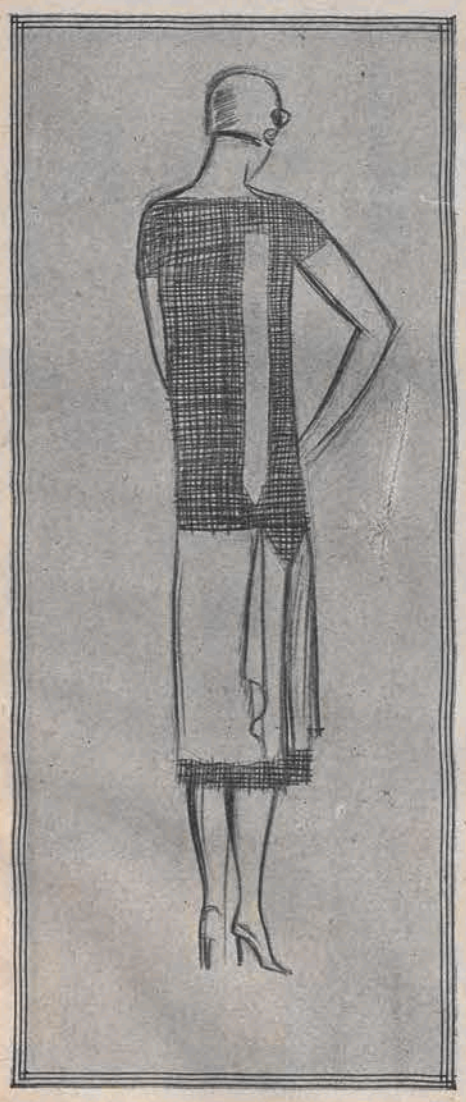

Suknia z crepe de soie w dwóch kolorach: chabrowym i białym. Przez plecy rzucona wstążka

Suknia z białego meteoru. Długi haftowany casaque, spódniczka plisowana

Rysował T. Gronowski

Suknia z krepdeszynu w kolorze brzoskwiniowym, malowana tonami granatowemi. Spód z koronki

Drobniutko plisowany kołnierz, podwójny żabot z białej crêpe Georgette, przy rękawach riusze

KAMIZELKI, ŻABOTY I PETITS-RIENS

Niewiadomo, jaką drogą kojarzeń powróciły te białe kołnierzyki, mankiety, kamizelki i żaboty. Czy przyrzuciła je powrotna fala, która wraca jednakże mimo zapewnień Tetmajera, „że już nie wróci nigdy fala, co taka smutna stąd odchodzi", czy też tylko moda dnia któregoś zanurzyła ręce w stosach rupieci, nagromadzonych od lat i przypomniała dawne wesołe chwile, kiedy to biały, świeży kołnierzyk odnawiał stare znoszone sukienki i czynił je odświętnemi?

Stosy tych pikowych i muślinowych riusz, falbanek, koronek leżały długo w zapomnianych szufladach, żółknąc powoli z żalu. Dziś odzyskują prawo obywatelstwa i znowu okolą szyje, otoczą je, w węzeł się zwiążą, do przegubów ręki przylgną, postrzępią w żaboty, w kamizelki ułożą na gorsie. A jest to powrót zaiste triumfalny, gdyż nietylko wskrzeszona jest treść istotna tych „białości": zalotność, ale nawet ich forma zewnętrzna: krój i materjał.

Plisowana kamizelka z linon. Kołnierz wysoki, zakończony sztywną kryzą. Guziczki z perłowej masy

Te stare pamiątki zawsze najpiękniejsze, misternie kute i cyzelowane niby dłutem Cellini'ego, muszą, chcąc nie chcąc, zgodzić się na te wszystkie francuskie świecidełka, na kryształy i półszlachetne kamienie, które na długich łańcuszkach i sztabkach zwisają z uszu, jak krople łez, jak w biegu zatrzymana kulka rtęci, lub owoc, zamierzający właśnie spaść na ziemię.

Z pod gładko przyczesanych, już nie na „chłopca" lecz na „chłopa" przyciętych włosów, wybiegają te kolce, świadcząc, że uszy jeszcze istnieją. Bo możeby ktoś chciał posądzić modną panią, jak ongiś ową słynną Cléo do Merode, że niema uszu, ponieważ nikt ich nie widzi? A właśnie na przekór

Więc sztywne muśliny, organdy, więc pika prążkowana, lecz wysubtelniona, podatna i miękka. Ale i nowożytna technika tekstylna dopomina się o uczestnictwo, więc crêpe Georgette mereżkowana, plisowana, marszczona i crêpe do Chine mięsisty, bufiasty i crêpe chiffon matowy, o tonach kości słoniowej.

Zaś koronki brukselskie i weneckie, prababczyne pamiętające czasy, kremowe jak bita śmietanka, kędzierzawe i pajęcze ułożą się znowu w wachlarze i ukryją w swej gąszczy starą ametystową broszę, kameę neapolitańską, lub mozaikę wenecką.

Kołnierzyk i mankiety z białej piki. Wykończenie z plisowanej falbanki

ni i o... portmonetce, ukrytej we wnętrzu owego „rien".

Rękawiczki widzimy narazie tylko krótkie, z czego należy wnioskować, że pani i w tym roku nie będzie się wstydzić swoich obnażonych ramion i pozwoli im opalać się na bronz. Krótkie rękawiczki „uzupełniają" tylko długi rękaw płaszcza lub żakietu i muszą być „pod kolor".

Aby jednak tonowanie kolorów nie było zbyt jednostajne, mankiet lub brzek rękawiczki jest bajecznie kolorowo haftowany. Rzucić komuś taką śliczność — rękawicę jest chyba przyjemnie, a także ów ktoś, podejmujący rękawicę, zrobić powinien sympatyczniejszy gest, niż gburowaty rycerz Schillerowskiej ballady.

Żabot z haftowanego mousseline de soie, wysoki kołnierz związany w węzeł

sceptykom pani ma mocne uszy, skoro może udźwignąć całą frendzlę, różaniec, gwiazdę i inne cuda kosmosu.

Do petits riens, jak je nazywa Paryżanka, należy również woreczek albo torebka, która w swojem wnętrzu mieści tajemnicę pani: ołówek do ust, puder, czasem liścik (choć ten już w wieku radio i telefonu nie ma zastosowania).

Torebka może być w kształcie koperty, zrobiona z mory, zamknięta srebrną, kamieniami wysadzaną klamerką. Może też być kształtu owalnego, serduszkowego, a wówczas robią ją ze skóry, emalji, galalitu, kości słoniowej lub szyldkretu.

W dziedzinie torebek zbytek dochodzi do stanu wyrafinowania i petit rien zmienia się na ważne „coś", które mówi o smaku pa-

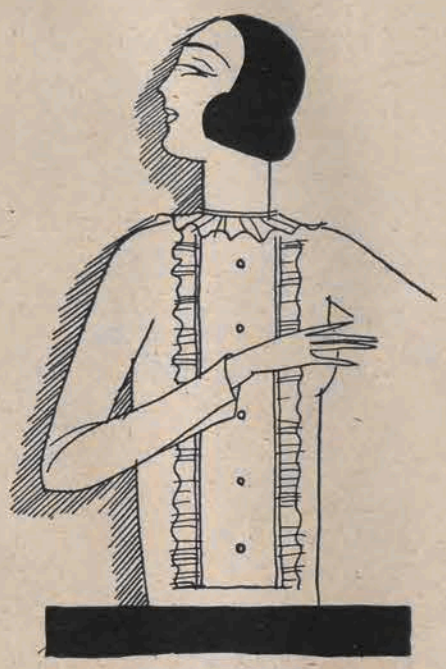

Kamizelka z białego organdy, marszczony kołnierzyk i falbanki

rien, a czemś dużo ważniejszem, prawdopodobnie nie wchodzącem nawet w zakres mody. Nie należy więc zbyt często myśleć o odpowiedzi na ten natrętny pytajnik, zwłaszcza, że nowe biuletyny mody tak absorbują umysł, serce, duszę i że petits-riens suggerują przekonanie, iż nieprawdą jest jakoby były „niczem", jakiemś tam głupstewkiem niepotrzebnem, lecz, że w istocie są czemś ogromnie koniecznem, poprostu są tą tak ważną kropką nad „i" w stroju kobiecym.

NINA

Kołnierz z piki, z obu stron żaboty luźno marszczone

W tym roku, podobnie jak w poprzednim, parasolka będzie tolerowana, jako pseudo osłona od słońca, będzie to jednak coś przypominającego kwiat, zrobionego z riusz i falbanek, coś malutkiego, kolorowego, coś bardzo miłego jako odpowiednik do sukni.

Artyści znajdą duże pole do popisu w rzeźbieniu do tych parasolek rączek, które muszą mieć piętno sztuki i stylu.

Szal wychodzi powoli z mody. Będzie jeszcze cieszyć się uznaniem na wywczasach letnich, ale w mieście musiał skapitulować, wobec czego wyprowadził się na... przedmieście.

Jak najmniej „powiewadeł" — oświadczył w tym roku Paryż i słusznie, tamtego lata bowiem panie wyglądały jak żaglowce na pełnem morzu. A przecież i tak wypłynęłyśmy na pełne morze sezonu i żeglujemy wesoło — — — dokąd?

Nie, na to pytanie nie mam obowiązku odpowiedzieć. Owo „dokąd" nie jest bowiem ani suknią, ani kamizelką, ani petit-

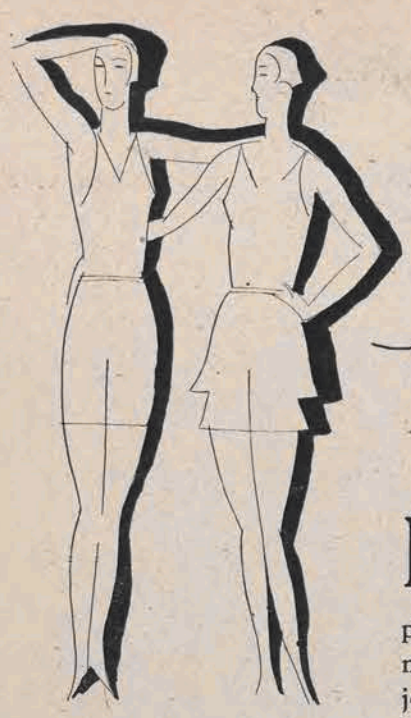

Pour être belle ....

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że gdyby wśród młodzieży płci męskiej przeprowadzono ankietę na temat: „co jest ważniejszem dla kobiety, czy ładna twarzyczka, czy piękna linja ciała?" — znaczna większość odpowiedzi brzmiała by — „linja ciała" — Ważną to być powinno wskazówką dla Was — Panie nasze, ważną tembardziej, że twarz trudno zmienić, podczas gdy formy ciała w poważnym stopniu zależą od Was samych. Z góry zaznaczam, że nie jestem ani właścicielem „Institut de Beauté" — ani wynalazcą patentowanych środków kosmetycznych, lecz tylko skromnym rzeczoznawcą, który sprawie kultury ciała poświęcił niemało czasu. Rad będę jeżeli spostrzeżenia moje przydadzą się i Wam, piękne panie, dla których mam kult głęboki.

Wszystkie poniższe rady, które chciałbym wsączyć w Wasze różowe uszko — tyczą się głównie tych z Was, które przyroda obdarzyła normalnem ciałem, a nie dotknęła nadmierną chudością, lub otyłością, chociaż i tym nie zaszkodzi zaznajomić się z nowoczesnemi poglądami na kulturę ciała. A więc wiedzcie, piękne Panie, że od całego trybu życia codziennego zależeć będzie to „linja", o którą i Wam i mnie chodzi.

Minęły czasy pięknych iluzyj, kiedy myślano, że ładną figurę mogą mieć tylko te kobiety, które mają dużo wolnego czasu i pieniądze, by móc pozwolić sobie na pierwszorzędnych specjalistów, którzy tę „figurę" zrobią. Dziś wiemy z całą dokładnością, że „figurę" może mieć każda z Was, która chce ją mieć i chce zadać sobie fatygę, by ją mieć. A w tej „fatydze" — leży właśnie cała tajemnica. Natura obdarzyła Was słabszemi mięśniami i znacznie grubszą warstwą tłuszczu, niż rodzaj męski. Rezultatem tego jest, że macie wrodzone lenistwo do ćwiczeń fizycznych, pewną niechęć do ruchu. Skutkiem tego znacznie więcej kobiet niż mężczyzn „traci figurę" — z biegiem czasu. Cóż więc należy robić? — Odpowiedź nietrudna, ale przydługa, która w ramach jednego artykułu „Pani" nie da się pomieścić, poproszę więc Pana Redaktora, o udzielenie mi miejsca na parę artykułów, tembardziej, że jak jemu tak i mnie, zależy na ładnych figurach naszych pań.

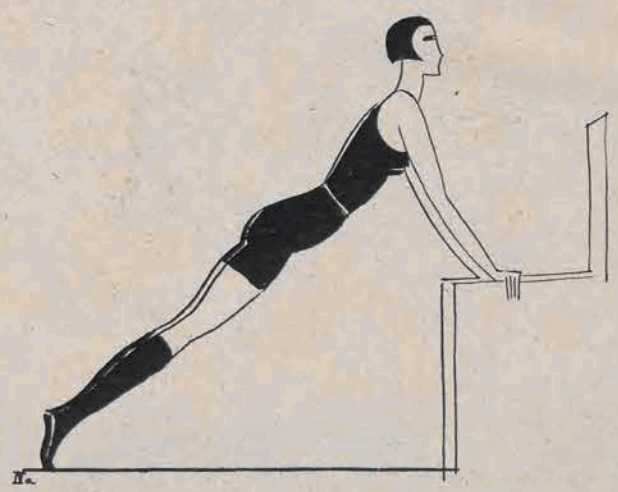

I. Ranna kultura ciała.

Człowiek jest towarzyskiem stworzeniem, każda czynność przezeń wykonywana wydaje mu się stokroć lżejszą, jeżeli ma towarzystwo; tyczy to się specjalnie rzeczy trudnych do wykonania, z których najtrudniejszą, może być, dla wielu z Was jest ranne wstawanie. To ostatnie w języku ścisłym brzmi wstawanie o godzinie 7-ej rano. Brzmi to strasznie, ale o ile mniej strasznie, jeżeli uprzytomnimy sobie, że o tej właśnie godzinie, razem z nami

wstają tysiące kobiet. Amerykanie rozwiązali tę sprawę po amerykańsku.

Punktualnie o godz. 7-ej rano radjo-stacja W. O. R. nadaje głośny sygnał do wstawania. Pochwytuje go jak przeprowadzona statystyka wykazała około 500.000 odbiorców. W chwilę potem jeden z najbardziej znanych instruktorów wychowania fizycznego nadaje cały szereg wskazówek, jak należy wykonać ćwiczenia fizyczne, by od samego rana „nastroić" organizm, czyli wprowadzić w ruch wszystkie organy. Ćwiczenia te są tak obmyślane, by mogły być wykonane przez wszystkich. A oto główniejsze z nich:

1) Usiadłszy na dywaniku, zgiąć mocno kolano poczem objąć je oburącz. Teraz jeżeli lekko odepchniemy się stopami — to przewrócimy się na kabłąkowato wygięte plecy i z nieznacznym wysiłkiem możemy powrócić do pozycji pierwotnej, siedzącej. Otrzymuje się ruch zbliżony do fotelu bujającego.

2) Kładziemy się nawznak na dywaniku, przyciskając ręce do bioder i staramy się usiąść nie odrywając rąk. Kilkudniowe ćwiczenie pozwoli nam to zrobić, by wkrótce przejść do cokolwiek trudniejszego ćwiczenia, a mianowicie wykonania tego samego z rękoma wyciągniętemi pionowo wzdłuż głowy.

3) W pozycji stojącej lub siedzącej staramy się rękoma ująć końce palców od nóg.

4) Położywszy się na dywaniku twarzą do niego zginamy ręce i oparłszy się o podłogę zaczynamy wyprostowywać ręce utrzymując cały korpus sztywno, po chwili winniśmy się dotykać dywanika tylko dłońmi i palcami od nóg. Po chwili powracamy do pozycji pierwotnej. Zbliżone ćwiczenia można wykonywać przy każdym fotelu, stanąwszy twarzą do niego i oparłszy dłonie na jego poręczach, a odrzuciwszy nogi wtył, tak, by się o podłogę opierać tylko końcami palców — będziemy zginać i rozginać ręce.

5) Położywszy się na wznak na dywaniku i trzymając ręce wzdłuż ciała dłońmi do podłogi, podnosimy nogi do góry nie zginając w kolanach i stopniowo przerzucamy je wtył, by wreszcie dotknąć palcami od nóg podłogi po za głową.

6) Trzymając ręce przed sobą lub ująwszy się pod boki, przysiadamy wolno na palcach i podnosimy się, czyli robimy „przysiad". — Nikt od Was piękne panie, nie wymaga, byście odrazu zgrabnie wykonywały powyższe ćwiczenia. Najprostsze na oko ćwiczenie wykonanem będzie dobrze i z pożytkiem dla Was — zawsze po pewnym czasie dopiero, gdy mięśnie nabiorą elastyczności.

Chodzi o to, by wykonywane były codziennie bez wyjątku, z przyzwyczajenia, tak jak ranne mycie się. Cała kultura ciała oparta jest na tej zasadzie, że ciała niewolno zaniedbywać, bo im dłużej było zaniedbanem, tem większych wysiłków i cierpliwości trzeba, by figurę normalną odzyskać. Przy dzisiejszym trybie życia, zabójczym wprost dla ciała — „figurę" zachowują do późnej starości wyjątkowe tylko jednostki i to przy zachowaniu pewnych reguł. Znaczna natomiast większość kobiet zmuszoną jest „pracować", by linję zachować.

A więc kiedy ustalimy już, że będziemy pracować, by być piękną i kiedy wytknęliśmy już, że wstawać będziemy o 7-ej rano, poczem niezwłocznie wykonywać będziemy przez kwandrans conajmniej szereg rannych ćwiczeń, które wprowadzą w ruch ciało — zobaczymy co dalej nam w czasie dnia czynić należy. Ale o tem opowiem Wam w następnym artykule, który brzmieć będzie „Czy kobieta powinna uprawiać sporty?".

DR. W. ZAWISZA

Rys. J. Zaruba

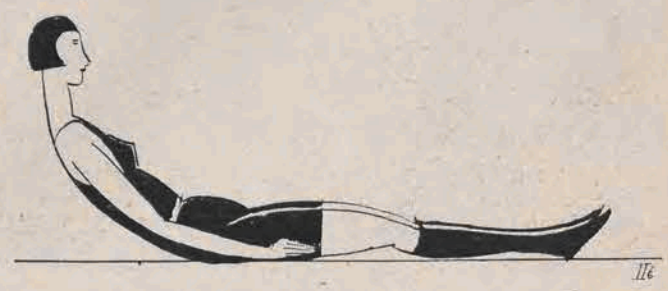

W przededniu otwarcia wystawy

Jeszcze tylko tydzień, jeszcze tylko siedem krótkich dni dzieli od oficjalnego otwarcia wystawy, a tu tyle jeszcze roboty... Wszędzie, na każdym kroku gorączkowa, naprężona robota — jak przed egzaminami, usiłująca dopędzić stracony czas i bardziej zaawansowanych kolegów. Tak samo jest zresztą i z nami. Szczęśliwy zbieg okoliczności dał nam sąsiadów (Szwecja i Holandja) którzy z całą dokładnością obliczyli ilość czasu, niezbędnego do ukończenia swych prac. Sąsiedztwo to dobrze podziałało na nas. Będziemy gotowi na czas.

A propos sąsiedztwa. W rzędzie pawilonów cudzoziemskich, ustawionych nad brzegiem Sekwany—na Cour de la Reine, pierwszy stoi pawilon Czechosłowacji, drugi holenderski, za nim my, dalej Szwecja, Monaco, Austrja, Japonja. Jak szczęśliwie zostało wybrane miejsce dla polskiego pawilonu (dzięki temu, że byliśmy niemal pierwsi, którzy odezwali się na apel), dziś dopiero można sobie uprzytomnić. Przedewszystkiem „widać" nas doskonale. — Z przeciwległego brzegu Sekwany szczególnie wyraźnie strzela w górę w rzędzie płaskich pawilonów strojna, wyniosła szklana wieża pawilonu polskiego. Jest jakaś patetyczność i nawet poetyckość inwencji prof. Czajkowskiego, który tym odważnym pomysłem strzelenia w niebo szklaną wieżą nawiązuje nić, łączącą polską sztukę z najwznioślejszem abstrakcyjnem być może, ale przecież tak blisko z sztuką polską zrośniętem, budownictwem Norwidowskiem. A pozatem rezultat pozytywny tego pomysłu, bardzo dla nas korzystny: ponad rozrośnięte konary drzew, stanowiących gęstą aleję, my jedni wyrastamy; reszta pawilonu ginie i tylko zbliska można się przyjrzeć szczegółom architektonicznym. I jeszcze jedno, także przypadek dla nas bardzo pomyślny: nasi sąsiedzi, z jednej i z drugiej strony, Holendrzy i Szwedzi, przed swemi pawilonami potworzyli niewielkie wodne baseny (dziecinnie to wygląda przy basenie tuż obok płynącej Sekwany), ale ten drobny napozór szczegół odgradza nas przestrzenią kilku metrów conajmniej od sąsiadów — na czem pawilon, jego wyniosłość, strzelistość i powiewność zyskują ogromnie Któryś z Francuzów powiedział o nas: — C'est gracieux comme un oiseau! To piękny komplement!

Robota przy wykańczaniu pawilonu wre. Jak to będzie wyglądało, jakie będzie wnętrze? Więc żelazna krata oddzieli nas od zgiełku i wrzawy. Dziedziniec. Na cokole z kieleckiego marmuru stanie rzeźba Kuny (już stoi). Jest to piękne, natchnione dzieło prawdziwego artysty.

Niewinność i płodność.

Dokoła, na ścianach, herby miast polskich, ujęte w ornamenty nawskroś oryginalne, a przecież ludowe, skomponowane przez Jastrzębowskiego. Dalej główna hala, nad którą błyszczy w słońcu, jak brylant — wieża. W nocy jaśnieć będzie jak promieniejąca strzała, tysiącem świateł.

Dokoła na ścianach sześć malowideł dekoracyjnych Stryjeńskiej. Wre praca. Jeden z bliższych współpracowników p. Stryjeńskiej, p. Pisarkiewicz, w robotniczej bluzie nabija na ramy te potężne, nieokiełznane fantazje przebogatej artystki. Czyż można było znaleźć lepszą reprezentację naszego dekoracyjnego wyrazu?

Gruby gaskończyk układa podłogę z płytek marmurowych, umorusany do niemożliwości, podnosi od czasu do czasu głowę, ozdobioną przepysznym herbem rycerza Gaskonji — nosem Cyrana godnym, patrzy na malowidła i kiwajac głową, pyta: On est comme ça dans votre pays? C'est violent, c'est fort.

Na bogactwo reprezentacyjne Polski — tu, na tym międzynarodowym konkursie zdobnictwa — złożyli się jej najbiedniejsi synowie: artyści polscy, ich najszczytniejszy wysiłek, ich marzenia i sny o własnej „artystycznej" niepodległości!

Czyż trzeba wyliczać wszystko co tu będzie reprezentowane? Każdy z tu obecnych artystów, czy to Czajkowski, czy Jastrzębowski, czy Karol Stryjeński, Kotarbiński, czy Szczepkowski — każdy w pocie czoła, w futerałach płóciennych, od rana do nocy pracuje przy swojem dziele i myśli i cieszy się i martwi tysiącem najzwyklejszych, najprostszych utrapień: — „Tam do licha, listwy nie pasują". „Na miłość Boską, co to będzie, lustro się stłukło". „Obicie za krótkie". — Dobrzy, kochani, rozgorączkowani i do cna pochłonięci, przywieźli z sobą najpiękniejszy „eksponat" — swą wiarę w czystość sztuki, najlepszy cement dla przyszłego gmachu pięknej Polski.

„Lajkonika" na kiosk Stryjeńskiego nie zdążono wykonać w kraju. „Sami zrobimy". Kleją, piłują, strugają— będzie „lajkonik", jak się patrzy.

W tej wielojęzyczności wystawy (dość przejść kilkadziesiąt kroków, aby usłyszeć robotników głośno klnących, ciężkim, nieobrotnym holenderskim językiem, czy krzykliwie nawołujących się Japończyków, czy jakieś zupełnie nieartykułowane dźwięki, jakgdyby toczącej się żelaznej obręczy, Szwedów) w jej rozgwarze i rozgardjaszu — jakże przyjemnie usłyszeć naraz: „Pietrek, ciąg te belkie!" — To przy budowie zakopiańskiego pawilonu Stryjeńskiego pracuje kilku Polaków. Skąd się tu wzięli? Dobrze, że i oni są tu.

Kurz biały, przezroczysto-mleczny wisi nad wystawą, jak welon. Za parę dni opadnie i już wszystko będzie gotowe. U „Inwalidów" — to jeden z naszych działów najważniejszych — wre praca równie pośpieszna, jak w „Grand Palais", gdzie wystawiamy niezwykle bogaty dział nauczania (niema obawy o konkurencję, będziemy z pewnością jedni z pierwszych w tym dziale!).

Wypakowano pierwsze krzesełko z „pokoju Kotarbińskiego", Jastrzębowski dziś zawiesza batiki dokoła swego wiośnianego pokoju — Szczepkowski modli się do każdego gwoździa, wbijanego w jego przecudowną kapliczkę całą w drzewie rzeźbioną. — A nad wszystkiem czuwa jak dobry duch, sam zdenerwowany i zabiegany,

GRUPA ARTYSTÓW POLSKICH, BIORĄCYCH BEZPOŚREDNI UDZIAŁ W WYSTAWIE Z P. RAYMOND, BUDOWNICZYM FRANCUSKIM, KTÓRY WYKONYWAŁ PAWILON POLSKI PRZY WSPÓŁPRACY BUDOWNICZEGO POLSKIEGO P. GELBARDA

Z prawa na lewo: 1) p. Warchałowski, komisarz generalny działu polskiego; 2) p. Raymond. Na murze siedzą: 1) p. I. Czajkowski; 2) p. M. Kotarbiński; 3) p. Pisarkiewicz. Stoją: 1) p. J. Szczepkowski; 2) Karol Stryjeński; 3) p. W. Jastrzębowski (w bluzie); 4) H. Gelbard.

ojciec i matka tej naszej ekspozytury artystycznej — Jerzy Warchałowski.

Z jego niespożytej, niezłomnej energji — z jego niewygasającego entuzjazmu urosło to wszystko. — „Z niczego, z niczego powstało to wszystko — bo mi z początku grosza nie chciano dać".

A jednak dali! I dobrze się stało, że tu jesteśmy, że się „pokażemy".

Z czystem sumieniem, bez blagi i zarozumialstwa można stwierdzić, że z wielkim, niebylejakim honorem wyjdziemy z tej konkurencji międzynarodowej.

To, co reprezentujemy, jest czyste i szlachetne!

Niechno się ta wystawa już otworzy — bez trwogi stanie Polska do zapasów bardzo zaciętych, bezwzględnych, które tym razem świat stoczy inną, szlachetniejszą bronią niż armaty, gazy i żelazo: — Sztuką.

Paryż, w kwietniu. *JÓZEF BRODZKI*

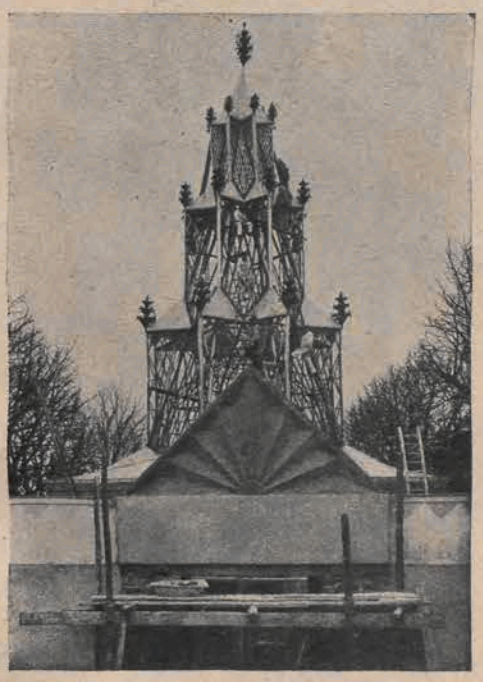

WIEŻA PAWILONU POLSKIEGO

HENRYK KUNA I JEGO DZIEŁO

TEATR A MODA

Wbrew przewidywaniu „Okręt sprawiedliwych" nie pogardził... modą. Nietylko bowiem obie młode i urocze artystki, pp. Gromnicka i Modzelewska, mogły wystąpić w ładnych białych sukienkach i w oryginalnych haftowanych płaszczykach, ale nawet panom pozwolił Jewreinow przebrać się na biało-granatowo i robić przez jeden (drugi) akt szczęśliwych.

Ten drugi akt właśnie nazwaćby należało grą w piłkę, mimo potopowej wkładki z Noem, Chamem i całą menażerją. Sztukę cechowała zresztą przedpotopowość, a ratował ją taniec nie p. Leszczyńskiej, lecz p. Modzelewskiej. Przyczem widzowie mieli doskonałą sposobność do przekonania się, że nawet w Arce Noego obowiązywała moda i vieil or był naonczas kolorem sezonu deszczowego, bo p. Modzelewska taką właśnie robą olśniewała Chama.

Różowy, offenbachowski parasol Maszyńskiego i znakomity upadek Samborskiego robił niebezpieczną konkurencję Vitalisowi, który przedstawił się nam jako poważny współzawodnik Breitbarta.

P. NIEWIAROWSKA W „PERŁACH KLEOPATRY" Fot. St. Brzozowski

„Okręt sprawiedliwych" był zresztą fata morganą, a zato węgierska „Fata morgana" wyszydziła sprawiedliwość, prawdę i inne cnoty ewangeliczne, czemu nikt w Warszawie się nie zdziwił, skoro p. Ćwiklińska rozpuściła swoje złote włosy: „Ja Anna Csilag".

Otóż i ten Jerzy, młodzieniec niby dąbczak i wcale nie w ciemię bity, musiał się poddać urokowi p. Ćwiklińskiej, która nosiła śliczny jedwabny płaszczyk podróżny koloru lavande, różowy szlafroczek z koronkami i efektowną suknię koloru cyklamen.

P. Ćwiklińska, dźwigająca na swych pięknych ramionach całą sztukę, ochroniła ją od upadku, przyprowadzając właśnie do upadku iuvenem intactum i wodząc za nos swego małżonka p. Waltera, choć, chcąc sięgnąć do nosa tego artysty, musiałaby przystawić drabinę.

Z wywyższaniem i podwyższaniem radzi sobie lepiej p. Niewiarowska, która nasadza na głowę olbrzymiaste djademy, pióra i koła młyńskie, sądząc, że tem widza zadziwi i uszczęśliwi. Stroje p. Niewiarowskiej byłyby piękne, gdyby artystka nie przekraczała miary i wagi. Trzeba wprawdzie podziwiać zręczność p. Niewiarowskiej w błyskawicznem przebieraniu się, ale nie na tem tylko polega sztuka, jeżeli słowa tego wolno użyć w zastosowaniu do operetki.

Balet „Fleur d'amour" barwny, kwietny i drażniący był p. Niewiarowskiej bardziej..... do twa-

rzy niż egipskie cudactwa, a nawet clou wieczoru — waż. Z amantami p. Niewiarowskiej jest trochę smutno, zwłaszcza z p. Dembowskim, którego oficerska postawa ma „akcenty" tragiczne. Czyżby wśród zespołu „Nowości" nie było innej ofiary amorów Kleopatry i oficer rzymski musiał koniecznie mieć długą szyję, cienkie ramiona i figurkę, przypominającą czasy tiurniury? Nawet mumja egipska miałaby niejedno do zarzucenia amantom z „Nowości", a tu i śliczna p. Sokołowska musi jeszcze dobijać się o wzajemność, znikając przytem niemal zupełnie w blasku toalet Kleopatry.

Całkiem inaczej dzieje się, a raczej działo w Teatrze Bogusławskiego, gdzie w cieniu „Złotego płaszcza" wszyscy aktorzy byli sobie równi, wszyscy z chińska podmalowani, z demokratyczną sprawiedliwością obdzieleni rolami i wielobarwnemi sukienkami pomysłu państwa Pronaszków. Tak to w tej „pałacowej" bajce, pełnej arystokratyzmu kastowego, wydzielono aktorom jednaką miarę płótna i szminki.

Że jednak równość nie ma co robić na tym magistrackim padole płaczu i Teatr Bogusławskiego umiera na suchoty, dokonywa sławnego a krótkiego żywota, nakazując w testamencie, iżby wierna mu do końca publiczność pilnie odtąd uczęszczała do pouczającego przybytku „Nowości", które nic nie mają przeciw temu, gdyż od przybytku widzów głowa p. Szczawińskiego nie boli, a p. Niewiarowska będzie mogła w następnej operetce nawiesić na siebie jeszcze kilkanaście metrów złotej lamy i jeszcze kilkanaście ogonów i skrzydeł strusich.

P. ĆWIKLIŃSKA Fot. J Malarski
W „FATA MORGANA" WAJDY

Gdy się rozejrzemy w repertuarze naszych teatrów, z trudem doszukamy się „mody", którą naprawdę reprezentuje tylko p. Ćwiklińska. Wszystkie sztuki chorują bądź to na styl, bądź też z lepszym lub gorszym skutkiem imitują „epokę", bądź wreszcie wyprawiają prymitywnie groteskowe harce. Panie, chcące w teatrze widzieć „ostatni krzyk", doznają zawodu, bo nawet współcześnie bawiący się Grzymała-Siedlecki ubrał panie, ubiegające się o... spadkobiercę, w fartuch gospodarski, w szarą bluzkę skautowską i ledwie na chwilę jedną pozwolił pani Ordon-Sosnowskiej na „rozcięcie" dekoltu. Ale ta chwila wystarczyła zarówno zainteresowanemu, jak i widzom, aby stwierdzić, że szyja p. Ordon-Sosnowskiej jest biała a sztuka... Lecz prawda — nie o sztuce mowa w niniejszym feljetonie. Raczej należy się tu pochwała p. Kozłowskiemu, który tak ładnie udekorował wnętrze dworu w Samosękach. Nie dziw, że spadkobierca czuł się w niem lepiej niż w amerykańskiej puszczy w towarzystwie... pumy.

NINA

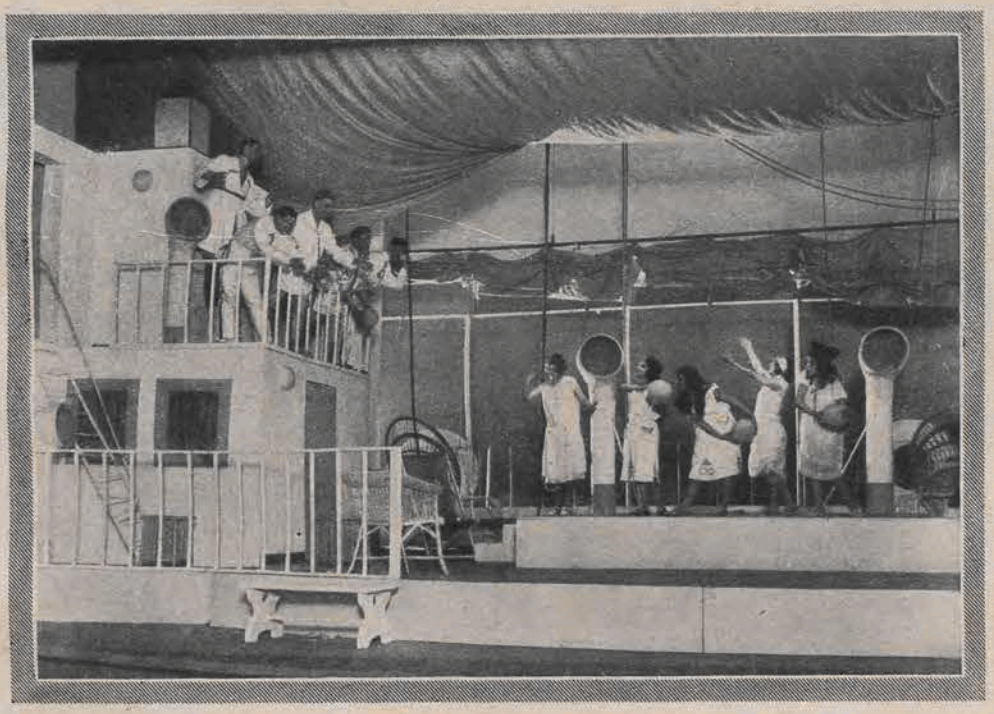

Fot. St. Brzozowski
TEATR POLSKI:
„OKRĘT SPRAWIEDLIWYCH" SCENA W AKCIE II

RADZE PRZECZYTAĆ...

NOWOŚCI FRANCUSKIE

PIERRE BENOIT, LE PUITS DE JACOB, ED. ALBIN MICHEL, PARIS.

Czyż istotnie należy jeszcze czytać Pierre Benoit? I czy należy go do czytania polecać? Czy też może uważać zainteresowanie się jego dziełami za karygodną słabość, za nieopanowanie swoich niskich namiętności, za wstydliwy grzech, o którym należy mówić z rumieńcem? Aby odpowiedzieć na te pytania, należy wogóle rozwiązać kwestję zasadniczą, z którą się i przy sądzie o innych współczesnych rzeczach spotkamy. Oto ustalmy pewnik, że rzecz, która ma wielki rozgłos, zawdzięcza zawsze ten rozgłos jakiejś zalecie. Zaletę tę może zresztą opłacać wadami, które grupie czytelników uniemożliwią konsumację książki.

Zaletą Piotra Benoit jest bezsprzecznie umiejętne i staranne dobranie tematu. Wolimy czytać o Atlantydzie, o mormonach nad Słonem Jeziorem, czy o nowoczesnem żydowskiem państwie w Palestynie, niż o nudnem, codziennem życiu burżuazji średnioeuropejskiej. To jedno. Benoit unika też starannie banalności w akcji przez jej rozbicie geograficzne. Jego książki są pełne ruchu. Inną jest rzeczą, że ruch ten staje się nazbyt może mechaniczny, a oglądane pejzaże nie mają żadnej bezpośredniości. Wierzymy prawie we własne słowa autora, który jakoby miał powiedzieć, że zwiedza kraje za pieniądze zarobione ich opisywaniem. Byłoby też może wskazane dać mu dyskretnie do zrozumienia, że pani Curie, aczkolwiek Polka, nie jest sjonistką. Przeciwne twierdzenie autora, choć jest samo w sobie drobnostką, może jednak podkopać wiarę w prawdziwość jego informacyj i co do innych spraw.

TH. RAUCAT. HONORABLE PARTIE DE CAMPAGNE. ED DE LA NOUV. REVUE FRANÇAISE

Ta Czcigodna Majówka jest naprawdę jedną z najpiękniejszych książek, jakie ostatnio czytałam i zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Pierwsze, jak słyszę, z dzieł młodego autora, ma do swego rozporządzenia doskonałe środki literackie i nadzwyczaj staranną dokumentację. Nowy proceder literacki autora polega na rozbiciu akcji w szeregu pamiętników kilku osób tak, jak się ona w czasie rozwija. Doskonały temat, wycieczka w okolice Tokjo, opisana z całą etnograficzną ścisłością, zostaje w ten sposób rozbita na szereg rozdziałów i wydarzeń, które filtrują przez psychikę kobiety, dziecka, gejszy, młodego eleganta, urzędnika kolejowego, studenta, co już samo przez się wprowadza kolor, gdyż ludzie, biorący w niej udział różnią się od siebie rasą, płcią, wiekiem i wykształceniem. Niezmiernie ostry sposób obserwowania i pewnego karykaturowania odczuwań każdej z tych osób, a także istotna egzotyczność japońskich zwyczajów robią z tej książki etnografję najlepszego gatunku. Niewiele brakuje, aby dzieło było arcydziełem, aczkolwiek, że czegoś brak, odczuwamy z wszelką pewnością. Dramat końcowy powinien zadziwiać czytelnika, a nie autora. Ze sposobu, w jaki nam jest podany, wnioskujemy, że autor nie dał sobie rady z syntezą, zrobił jednak wszystko co mógł, żeby nam dać do zrozumienia, jak dalece to było trudne. W każdym razie, jest to piękna, solidna robota literacka o doskonałym ciężarze gatunkowym, której przeczytanie pięknie umebluje głowę każdej czytelniczki i da jej szereg chwil zupełnie niezapomnianych.

LUCIEN FABRE, RABEVEL OU LE MAL DES ARDENTS, PARIS, LA NOUV. REVUE FRANÇAISE

Rabevel nie jest książką tegoroczną, cenię ją wszakże tak wysoko, że pragnę jej zjednać czytelników. Autor nie jest fachowym literatem, ale pisze z prostotą i szczerością, która jest czasem dla fachowców do osiągnięcia trudna. Wielką jego zaletą jest znowu temat, wszelako nie jego sytuowanie w przestrzeni, jak u Benoit, ale w czasie, w naszej współczesności. Fabre nazwał i zrozumiał pewien współczesny stan umysłu i tu jest jego wielka zasługa. „Szaleństwem płomiennych" nazwał on próbę moralności, polegającej jedynie na wytężonej akcji, której rezultat przekracza tak dalece oczekiwania i pojemność jednego człowieka, że, aczkolwiek egoistyczna, staje się nieledwie czynnikiem ogólnego ruchu, motorem świata i tu znajduje najwyższą swoją sankcję. Łotr, który w dzieciństwie rzuca koty psu na pożarcie, który potem zabiera przyjacielowi narzeczoną, by ją za chwilę bez żalu opuścić dla obiecanego bogatego małżeństwa, który olbrzymi swój majątek zawdzięcza setkom brudnych spraw i podejrzanych sztuczek, jest w gruncie wykładnikiem tak potężnej pasji tworzenia, że porywa za sobą najsurowszych sędziów.

Książka trochę rozwlekła, pełna długości i filozofowań, płaci za rozczarowania, które daje, pasją, porywającą, jak wodospad. Nowoczesne szaleństwo ujęte jest tu w sposób metodyczny i dokładny, okropniejszy może dlatego właśnie w swoich skutkach.

DAVID GARNETT, TŁUM. JANE-SIMONE BUSSY ET ANDRÉ MAUROIS, LA FEMME CHANGÉE EN RENARD, LIBRAIRIE GRASSET.

Książka prosta z pozoru, w gruncie skomplikowana, piękna i tajemnicza. Ktoś zamiłowany w zoologji przeczyta ją z całem zainteresowaniem, jako, że traktuje o obyczajach zwierząt. Ktoś, innych poszukujący rzeczy, przerazi się i zmartwi całą gamą uczuć, której w sobie nie przeczuwał, a którą autor słowami obudził. Kobieta, ni stąd ni zowąd, zamienioną została w prawdziwą, rudą lisicę — dama wykwintna i delikatna zaczyna nagle dusić gołębie i biegać za kaczkami wokoło sadzawki. Skacze potem na drzewa, aby z ogrodu uciec do lasu, zębami i pazurami żłobi sobie podkop pod murem parku. Przerażeni, pełni współczucia, asystujemy walkom natury zwierzęcej i ludzkiej, ludzkiemu upadkowi i zwycięstwom, triumfom i męce. Angielski Pan Bóg z biblji patrzy na to i doradza, podczas, kiedy pani, zamieniona w lisicę, kopie głęboki korytarz pod powierzchnią codziennych odczuwań i umówionej formy życia mężczyzny z kobietą.

Wanda Melcer-Rutkowska

MISCELLANEA ZAGRANICZNE

POIRET NA WYSTAWIE PARYSKIEJ

Przed otwarciem wystawy pisał „Le Théâtre":

Pan Poiret wywiera w chwili obecnej silny wpływ na francuską sztukę dekoracyjną. Jego estetyka nie zestarzała się wbrew temu, co twierdzą niektórzy jego koledzy.

Pragnienie oryginalności skłoniło p. Poireta do zlekceważenia pawilonów wystawowych. Jako wyznawca śmiałych teoryj, zapragnął on zbudować pałace na wodzie. Zamiast wznosić kruche mury z gutaperki i białego drzewa, zakupił trzy solidne okręty. Niby na modnych w Anglji houseboats'ach, będzie przebywał w pobliżu mostu Aleksandra na swych trzech statkach: „Amour", „Délices", „Orgues".

Pierwszy z nich ujawnia wpływy Wenecji, przypomina jej embarcadera, słupy nadbrzeżne i szerokie schody, wiodące do rzeki. Z jego dachu strzelać będą wodotryski, odbijając w sobie ogniste światła radującego się miasta.

W „Délices" znajdzie się restauracja, jazz, teatr, defilady manekinów.

Sensacją będą koncerty na „Organach", Sensacja ta przyszła oczywiście z Ameryki Nie sądźcie jednak, że będą tu grane fugi Bacha lub choćby melodje Poulenca czy Aurica. Nowy instrument nie wyda ani jednego dźwięku, lecz rzucać będzie na ekran barwy i kształty nieokreślone i zmienne.

Artysta prowadzi nas do swego biura. Czujemy, że w tej chwili stoi przed nami dyrektor imprezy handlowej. Krawiec stara się robić wrażenie flegmatycznej pewności siebie, lecz jego wygląd i fantazja południowca niweczą jego starania. Będąc w swej bujnej ekscentryczności bardzo metodycznym, pan Poiret wyjawia nam, ile kosztowały go statki...

PSYCHOLOGJA SYPIALNI

Pan L. Ch. Watelin w swej „Psychologji sypialni", zamieszczonej w jednem z paryskich czasopism artystycznych, nazywa psychologją sypialni jej związek z charakterem poszczególnych epok. Związek ten istnieje niewątpliwie, lecz, aby go trafnie określić, wprzód należy go głęboko widzieć. Związki, które dostrzega autor artykułu, niezawsze są głębokie, ale rzadko tylko są niesłuszne

Pan Watelin rozpoczyna od epoki Konstytuanty i zauważa, że wyszła ona poza tradycję jedynie w akcesorjach, umieszczając na nich ślady minionych wypadków politycznych. Forma szafy może być czystym Louis XVI, ale na jej drzwiczkach będzie wyrzeźbione zdobycie Bastylji. Gdzieindziej wśród starych form znajdą się bonnety frygijskie. Próbę głębszej interpretacji podjął autor francuski, starając się wyjaśnić pojawienie się linji łamanej, ale wyjaśnia je tylko symbolistycznie, upatrując w niem odbicie niepewnej myśli, chwiejącej się między przeszłością a teraźniejszością.

Ta myśl „nie nabiera siły" w czasach Dyrektorjatu, na którym ciąży jeszcze przeszłość.

SYPIALNIA Z CZASÓW KONSTYTUANTY

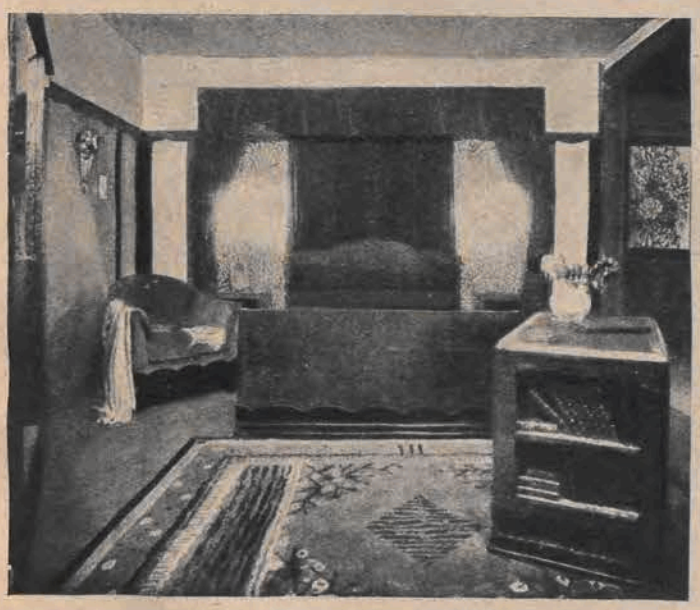

SYPIALNIA NOWOCZESNA

Zmianę wnosi Empire. Jest to epoka zdobywcza, epoka zwycięstw i potęgi. „I choćby miał wydawać się dziwnym związek między życiem prywatnem jednostki a Sfinksami i Minerwami, związek ten jednak istnieje. Życie prywatne uzewnętrznia się z tą samą bujnością, co życie publiczne; możnaby powiedzieć, że mieszkanie straciło swą intymność i że ludzie, zmuszeni galopować po Europie, zamienili w agora lub obóz miejsce, w którem odpoczywają jedynie przejściowo".

Czasy Restauracji charakteryzują się nieładem i poszukiwaniem odrębności indywidualnych. Wpływy romantyzmu, walczącego o niezależność wobec prawideł i o nieskrępowany rozwój jednostki, znać także na mieszkaniu, gdzie ujawniły się one w niezależności wobec wielu szczegółów mody i w dążeniu do nadania pokojowi fizjonomji jaknajbardziej osobistej.

Duch naszych czasów również narzucił mieszkaniu swe wymagania. Pośpiech nowoczesny, hygjena, nowe hasła sztuk plastycznych, wycisnęły swe piętno na dzisiejszych apartamentach. „Wszystko jest jasno zarysowane, dokładne i wygodne; nie mamy czasu pławić się w mnogości akcesorjów; dwie ceramiki, jeden bronz wystarczają oku; mało obrazów. Nawet kobieta spędza teraz mniej czasu u siebie. Uprawia sport. Kiedy wraca zmęczona do domu, pragnie znaleźć w swym pokoju wygodę. Kobieta usunęła ze swego domu wszelką komplikację, która dawniej uchodziła za przyjemność".

RAD.

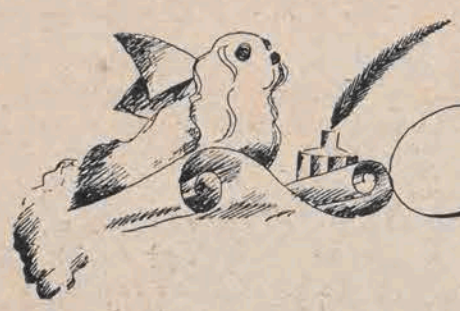

Notatnik Pani

sztuka

Sztuka retrospektywna reprezentowana była w tym miesiącu obficie, jakkolwiek tylko w reprodukcjach. Z ich wystawą wystąpiło debjutujące towarzystwo „Muzeum Ikonograficzne", które wobec ubóstwa naszych galeryj postanowiło stworzyć w Warszawie galerję arcydzieł sztuki w reprodukcjach. Pomysł ten w naszych warunkach uważać należy za prawdziwie szczęśliwy i życzyć młodemu towarzystwu dalszego powodzenia.

Nie rozporządzając na razie materjałem własnym, inicjatorowie „Muzeum Ikonograficznego" urządzili w kamienicy Baryczków pokaz zbiorów prywatnych; wystawa składa się przeważnie z rzeczy użyczonych przez p. Mortkowicza i daje w pewnej mierze obraz ważniejszych szkół włoskich w epoce ich rozkwitu, począwszy od wieku XIII aż do pełnego odrodzenia. Imponująco przedstawia się wystawiony zbiór rysunków w reprodukcjach faksimilowych. Obrazy natomiast z wyjątkiem fresków Michała Anioła, odtworzone barwnie, powinnyby być dopełnione dobremi zdjęciami fotograficznemi, dającemi właściwe pojęcie o fakturze malarskiej, oraz o tonie i walorach oryginału. Nawet jednak bez tego dopełnienia posiada wystawa w kamienicy Baryczków spore znaczenie pedagogiczne i zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Pewien charakter retrospekcji posiada również wystawa zbiorowa *Stanisława Masłowskiego*, urządzona przez Tow. Zachęty ku uczczeniu pięćdziesięcioletniej działalności artysty. Widzimy tam prace z pierwszego okresu jego twórczości, prace charakterystyczne dla t. zw. szkoły monachijskiej, jakkolwiek niektóre z nich powstały jeszcze przed pobytem Masłowskiego w stolicy Bawarji. Są to sceny z życia ludu i idealne obrazy Ukrainy, pokrewne nastrojem, uczuciem i wartościami malarskiemi z twórczością Chełmońskiego i świadczące o jednakowych poszukiwaniach u obu artystów. Wyróżnia się śród nich *Owczarek, Duma, Jaremy, Taniec, Kozaków, Pastuszkowie* i inne. Z okresu drugiego, kiedy artysta przechodzi do techniki akwarelowej i na swój sposób stosuje zasady impresjonizmu, ulegając zarazem wpływowi japończyków, mamy na wystawie kilka dzieł nawskroś oryginalnych w swej stylizacji i w szczerem odczuciu natury, takich, jak *Rynek w Kazimierzu, Pod opieką Świętych Pańskich* i t. d. Ten sposób ujęcia przewija się w twórczości Masłowskiego do dni dzisiejszych — obok zbyt może powierzchownych krajobrazów, w których nad zaletami czysto malarskiemi dominuje wartość umiejętnie dobranego motywu. Poważne wrażenie pozostawia ta wystawa artysty pełnego sił żywotnych, a który początkami twórczości należy już do historji sztuki.

Wystawione z Zachęcie szkice *Noakowskiego* stanowią w jego twórczości nowy etap o tyle, że ten mistrz jednobarwnej plamy daje tu po raz niemal pierwszy próby kolorystyczne, pozostając zresztą jak dawniej w dziedzinie swych tak popularnych fantazyj architektonicznych.

Plewińska-Smidowiczowa należy do rzędu tych nawskroś kobiecych temperamentów artystycznych, w których wizja poetycka i tkliwa uczuciowość znacznie przeważają nad odczuciem i pogłębieniem formy. Ostatniemi dopiero czasy zdaje się artystka przechodzić od owych stylizacyj ilustracyjnych o odcieniu secesji do dzieł ujętych realistycznie, prace te grzeszą jednak na razie surowością faktury.

W Salonie Garlińskiego wystąpili ze wspólną wystawą Tymon Niesiołowski i S. I. Witkiewicz. *Niesiołowski*, jak zwykle wrażliwy na najnowsze prądy w sztuce francuskiej dał szereg kompozycyj o bardzo uproszczonym rysunku, w których jednakże zbyt wyraźnie odbił się wpływ Picassa. *S. I. Witkiewicz* wystawił serję portretów, poprzedzając ponadto katalog dowcipną przedmową, pełną gryzącej ironji w stosunku do sztuki współczesnej, do publiczności i do własnych prac. Siła sugestyjna tych uwag, znamionująca wytrawnego literata, przeszkadza objektywnej ocenie wystawy.

W. H.

KOMPOZYCJA *TYMON NIESIOŁOWSKI*

literatura

PAMIĘTNIK MIŁOŚCI. Kazimierz Wierzyński zdobył sobie rozgłos odrazu, pierwszą książką.

Wydał tom poezyj p. t. „Wiosna i wino".

Rzeczy czarująco szczere, lekkie, młode. Przedewszystkiem — młode!

Wszystko, co napisał później — a więc „Wróble na dachu", „Wielka niedźwiedzica" i ostatnia rzecz — „Pamiętnik miłości" — było raczej uzupełnieniem, podkreśleniem, zaokrągleniem pierwszego wrażenia, jakie nam dał, debiutując w zaszczytnych barwach Skamandra.

Większej głębi Wierzyński później nigdzie nie osiągnął; doskonalszej formy nie objawił; lepszych wierszy nie napisał.

„Wiosna i wino" dały mu *klasę*. W klasie tej pozostał. Ale ani kroku dalej.

— — — — — — — —

Borykał się Wierzyński z kłopotami materjalnemi, jak każdy z nas. I robił kompromisy z własnem artystycznem sumieniem, jak prawie każdy z nas, niestety! Zaprzągł się do taczki dziennikarskiej. Koncypował sensacje i artykuły, w których bywał czasem posmak krwi — rzadziej łez— wszystko, jak należy.

Wiemy przecież, że dziennikarstwo nie ma nic wspólnego z literaturą...

Zrzadka tylko, sporadycznie, pisał wiersze.

Dostał za nie nawet nagrodę Wydawców. Całe 2.000 złotych. Voilà!

— — — — — — — —

I na tem dałoby się zamknąć dotychczasowy bilans twórczości Wierzyńskiego — bilans bezwarunkowo dodatni, ale nie „walący z nóg" — gdyby nie zaszło coś, co wywarło decydujący wpływ na jego poezję.

Autor „Wiosny i wina" — zakochał się...

Zapewne w kobiecie. Bo w wieku

PORTRET p. P. S. I. WITKIEWICZ

Wierzyńskiego nie kocha się jeszcze człowiek w sztychach.

— — — — — — — —

Ta właśnie miłość, czysta jak kwiat, delikatna tak bardzo, że aż zawstydzająca, śliczna i zupełnie chłopięca — tryska teraz z każdej karty, z każdej strofy, z każdego nieomal słowa „Pamiętnika".

Gwoli tej miłości zapewne, zaniedbał był Poeta w swoim czasie potęgę i pisał artykuły, albo tytuły. I ta wdzięczna miłość odpłaca mu teraz z królewską hojnością, przydając jego wierszom blask, jakiegoby może bez niej nie miały...

Nie potrafi tych spraw zrozumieć człowiek zimny, albo cynik. Nie potrafi ich także zrozumieć człowiek Mocny — bo miłość Wierzyńskiego jest delikatna i zadumana, nieśmiała i prawie drżąca — i niemasz w niej ani jednego rysu zwycięskiego Samca.

Przez to właśnie porywają nas takie wiersze, jak „Głowa", albo „Strzała".

Urocze drobiazgi, pisane krwią!

— — — — — — — —

Mamy oto punkt wyjścia, od którego może sobie Poeta iść pod górę, albo nadół — dowoli.

Talent jego nie powinien zawieść. I serce nie powinno go zawieść...

Idzie przecież pod tą samą gwiazdą, pod którą szli po nieśmiertelną sławę Dante i Petrarka!

W drodze powinien jednak pamiętać, że prócz słodkie Viole d'Amour wolno się poetom posługiwać także instrumentami, które naśladują głos burzy i śpiew wiatru... Że wolno im grać na organach...

I, że męska dojrzałość kocha się w spiżu.

Zdzisław Kleszczyński

„TYGODNIK WILEŃSKI". Ukazał się nr. 4 tego ilustrowanego przeglądu liter. art. z następującą treścią: Artykuł od redakcji p. t. „Święto narodowe, świętem radości życia" na temat zmiany sposobu obchodzenia 3 maja, szczegółowe warunki na pomnik Mickiewicza w Wilnie, St. Kołaczkowski „O wielbicielach współczesności", C. Norwid „Myśli na czasie", wiersz Fernanda Divoire w przekładzie St. Miłaszewskiego, nowela G. Duhamel'a, J. N. Miller o „Skamandrze", Dr. St. Cywiński „Słowacki o rewolucji w Rosji" i „O uruchomienie Bibljoteki Wróblewskich", W. Hulewicz „Wędrówki paryskie", korespondencja z Paryża, teatr, czasopisma, notatki, „Pigułki".

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Nadchodzi wiosna i ciepłe wiosenne dni, a z niemi lekkie i przewiewne suknie. Moda i estetyka jednak wymagają, aby przebijająca dyskretnie karnacja ciała była możliwie doskonała, i wszystkie panie dążą do tego.

Jednym z największych defektów ciała kobiecego jest często zbyt obfite owłosienie, które wielu Paniom przyczynia dużo kłopotu i zmartwień, a pozbyć się go tak łatwo.

Jest doskonały środek na wygubienie włosów, mianowicie *Epil-Max*, który nabywać można we wszystkich perfumerjach i drogerjach, a którym bez kłopotu, w ciągu 5-ciu minut, można usunąć zbyteczne włosy przyczem ciało pozostaje gładkie i czyste, bez jakichkolwiek śladów owłosienia. Włosy zniszczone *Epil-Max'em* bardzo powoli odrastają, tak że wystarcza stosować ten środek co 5 — 6 tygodni.

M-me ERCEDÈS

Skład główny EPIL-MAX'U:
WARSZAWA, PERFUMERJA PERFECTION, SZPITALNA 10

ARAGO ŻĄDAĆ WSZĘDZIE ST. GÓRSKIEGO PEWNY NA WYNISZCZENIE ODCISKÓW

TEATR NOWY W POZNANIU

wystawił z dużem powodzeniem najnowszą komedję B. Winawera p. t. „Znajomek z Fiesole".

Scena z aktu II. Pp.: Zasempianka, Zielińska, Bielicz, Bryliński, Grolicki, Korecki, Łapiński i Relski.

PORTRET CHŁOPCA. S. I. WITKIEWICZ

teatr

JUBILEUSZ TEATRU NARODOWEGO.

Dobrze, iż w swem słowie wstępnem p. dr. Ludwik Bernacki zaznaczył, że jestto właściwie jubileusz 160-letni teatru publicznego, nie zaś 150-letni Teatru Narodowego. Po pierwsze wymagała tego historyczna ścisłość, gdyż Teatr Narodowy nie był bynajmniej pierwokształtem tego wiekopomnego siedliska sztuki dramatycznej, gdyż był nim Teatr publiczny.

Powtóre zaś rok 1775, od którego należałoby liczyć owe, dla okrągłości cyfry, wybrane 150 lat, był, zdaniem szperaczów i znawców owej epoki, bardzo dla tego przybytku niefortunny i zgoła na upamiętnienie nie zasługuje.

Mniejsza jednak o dokładność i stosowność dat. Jubileusz dobrze spełnił swą rolę piewcy dawnych zasług teatru i samej jego dawności, która jest tytułem do chluby i chwały. Chwała to zarówno dla króla Stanisława Augusta, jak i dla dobrego ducha Teatru, niezmordowanego pioniera i wspaniałego pracownika — Wojciecha Bogusławskiego i jego pomocników.

Uroczystość miała przebieg szczęśliwy. Obraz sceniczny: „Obiad czwartkowy" pomysłu p. Bernackiego i Tadeusza Czapelskiego, (jakże miło znów słyszeć o panu, drogi panie Tadeuszu, któryś tak długo milczał!) wprowadził widza w atmosferę ludzi takich, jak sam król, potem Krasicki, ks. Bohomolec i wszystkie śpiewne, wiosenne ptaki tego nowego odrodzenia sztuk i literatury. Potem ci sławni goście— oczywiście wedle tradycji sami mężczyźni, a więc wedle znanej tradycji autentycznej, dostatecznie nudni (bez kobiet!) — pozostali jako druga publiczność na proscenium. Patrzyli oni na resztę widowiska,

wraz z Poniatowskim zaproszoną na jubileusz 150-letni publicznością. Miało to swój wdzięk i smak. Odegrano „Pannę na wydaniu" Adama ks. Czartoryskiego i balet Glucka „Sąd Parysa". Były też uwertury ówczesnych oper, prowadzone przez dyr. Młynarskiego.

Wieczór był świetny, sugestywny i mógłby być nawet bardzo interesujący, gdyby wlano weń trochę żywszej krwi. Wszyscy Koryfeusze naszego dramatu brali udział — a nikt nie pomyślał, żeby nie czaił się za kulisami i nie bruździł — żółw.

Cez. Jel.

muzyka

„ŚPIEWACY NORYMBERSCY". Po „Zygfrydzie" Wagnera — jego arcydzieło wcielonej wiosny, wesela i triumfu natchnionej pieśni. Bowiem „Meistersingerzy" to zwycięstwo młodej, niezawisłej pieśni nad fałszami i pedanterją, nad konserwatyzmem i szkolarstwem Beckmessera i jemu podobnych. Bohater, Walter von Stolzing, to uczeń tych, co żyli współcześnie z Tannhäuserem, i zarazem uczeń ptaków leśnych. A jego dobrym duchem współczesnym jest wielki poeta-szewc Hans Sachs, postać zarówno czarowna jak prawa i dostojna.

Ażeby dwie takie rozmaite i poetyczne figury ucieleśnić na scenie, trzeba mieć znacznie więcej twórczego i przedświtowego entuzjazmu, niż śpiewacy nasi. Zamało ich przygotowano i uświadomiono. W skomplikowanej nieco fabule „Śpiewaków Norymberskich" każde sołwo ma znaczenie — a tu jakby na złość, nikt słów nie wymawiał. Była to opera bez słów. A prawda, stróż nocny dobrze wyskandował swoje: „Panowie gospodarze, już dziesiąta na zegarze!"

Wznowienie więc, pomimo bardzo fachowej dyrekcji p. Rodzińskiego, było—zwłaszcza przez cały akt pierwszy—nietylko rozczarowaniem ale i nieporozumieniem. Porobiono przytem takie skrócenia, że Wagner pewnie w owej chwili przewracał się w grobie. I po co? Ażeby antrakty mogły trwać bezmyślnie długo. Dopiero akt trzeci ze swemi dwoma genjalnemi muzycznie obrazami „brał" i dał pewne przeczucie wielkości oraz cudownej mocy i świeżości tej muzyki.

Wykonawcami byli pp. Ignacy Dygas — jako zwycięsca na turnieju śpiewaczym i oblubieniec Ewuni Pognerówny, Mokrzycka jako właśnie ona, Palewicz jako Hans Sachs, Mossoczy jako Pogner, Wiśniewski jako Beckmesser, Dobosz jako Dawid. Najszczerzej rozśpiewał się i najwięcej ofiarował z siebie pierwszy z nich.

Jeżeli po premjerze „Zygfryda można było powiedzieć, że jakkolwiek było, dobrze iż było— po „Meistersingerach" przed powtórzeniem tego radosnego wyznania trzebaby się namyśleć.

Cez. Jel.

POKAZ MÓD W HOTELU EUROPEJSKIM

zgromadził tłumy pięknych pań i mniej lub więcej pięknych panów. Futra, płaszcze, kostjumy, suknie, kapelusze, pantofle, garnitury męskie, smokingi, „Habigi" i t. p. obleczenia prezentowały najpiękniejsze pod słońcem warszawianki i najszykowniejsi modele. Nawiasem dodaję, że panowie modele czuli się w swych rolach swobodniej niż panie i występowali bardziej „pokazowo".

Firmy współzawodniczyły ze sobą zawzięcie, batalja była jednak nierozegrana. Bo trudno zaiste byłoby wybrać między Jabłkowskim, Lucyną, Myszkorowskim a Zmigryderem; Henriette i Chapeaux de Luxe jednakowo podbijały serca, a Leon i Doley nogi. Kowalski był bez konkurencji, a Borkowski „leżał" bez zarzutu.

Widzowie wyszli oszołomieni a trochę i zmęczeni, wynosząc jako kwintesencję z tej uczty wzrokowej niezbitą pewność, że 1) klosz zwyciężył, 2) Warszawa a Paryż to jedno, 3) że dobrze jest mieć pieniądze. Dobrze jednak, że Macież Szkolna na tem skorzystała.

Nina

NAKŁADEM INSTYTUTU WYDAWN. „BIBLJOTEKA POLSKA"

WYSZŁY Z DRUKU NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

ST. WYSPIAŃSKI. Daniel. Wydanie czwarte	*1.90*
— Klątwa. Tragedja. Wydanie czwarte .	*2.70*
— Legenda. Wydanie czwarte	*2.70*
— Meleager. Tragedja. Wydanie czwarte.	*1.90*
— Protesilas i Laodamia. Tragedja. Wyd. czwarte	*1.40*
— Sędziowie. Tragedja. Wydanie czwarte .	*1.50*

*

Nadto ukazała się świeżo w druku ostatnia powieść wybitnego pisarza, zmarłego niedawno tragiczną śmiercią w Paryżu

JANA ŻYZNOWSKIEGO

„Z PODGLEBIA"

Cena zł. 4.80

DO NABYCIA W KSIĘGARNI

„BIBLJOTEKI POLSKIEJ"

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 23/25 TEL. 271-18
ORAZ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Okładkę wielobarwną i druk wykonano w drukarni „Rola" Jana Buriana, Mazowiecka 11

DODATEK POWIEŚCIOWY

PITIGRILLI

JĄKAŁY

— Tak, pani, skończyłem prawo, ale nie zajmuję się adwokaturą. Dwa zawody mi są wstrętne: adwokatura i pranie bielizny. Adwokat musi być kłamcą i złodziejem, a ja jestem tylko kłamcą.

— Dla człowieka, który jest tylko kłamcą — odrzekła pani — nie istnieje lepszy zawód, aniżeli pański: poezja. I ja również skończyłam prawo. Wie pan o tem?

— Wiem i nie pojmuję, w jakim celu. Kobieta jest adwokatką z przyrodzenia. Jej metryka jest sama przez się dyplomem prawniczym. Instynktownie zupełnie posiadła fortele wykrętów, fałszowanie dowodów, podmawianie świadków, przebiegłość alibi... A co znalazła pani w uniwersytecie?

— Męża. Studjując prawo, zajmowałam się wszystkiem z wyjątkiem kodeksów: uczęszczałam na filozofję na medycynę i na wykłady profesora Metlipowskiego Ljanowicza, ponieważ podobała mi się psychologja doświadczalna. Pewnego dnia zauważyłam, że podoba mi się i profesor. I wyszłam za niego zamąż.

Profesor Metlipowskij Ljanowicz uśmiechnął się rozczulony. Poeta podał pani złotą papierośnicę, poczem zamknął ją z dyskretnym trzaskiem.

— A pan nie pali?

— Nie.

— I mimo to ma pan zawsze papierosy przy sobie?

— Dlatego, że sam nie palę, nie racja jeszcze, abym pozbawiał innych możności palenia — odparł poeta z źle ukrytą afektacją. — Zwłaszcza, że mam wspaniałą papierośnicę, którą mogę się popisywać. Darowała mi ją pewna księżna duńska. Noszę nawet przy sobie munsztuk do papierosów, mimo, że nie palę. Tylu ludzi posiada instrumenty muzyczne, nie umiejąc grać na nich, lub bibljotekę, do której nigdy nie zaglądają, albo kobietę, która ich nie kocha...

Słynny profesor Metlipowskij Ljanowicz należał do gatunku uczonych, których Jan Papini nazywa wyrobnikami psychologji. Przeprowadzał doniosłe studja nad jąkaniem się wspólnie z mniej sławnym asystentem i tom, który przygotowywali, otworzyć miał przed nim podwoje akademji nauk. Badania nad jąkaniem się pochłaniały całą jego energję, wypełniały cały jego czas, trzymały w stałem napięciu jego czujność, gdziekolwiek się znajdował. W tramwaju, u fryzjera, w teatrze — wsłuchiwał się w rozmowy prowadzone przez otoczenie, a ilekroć natrafiał na jąkałę, nie wypuszczał go już z rąk i zapraszał usilnie do swojego gabinetu. Śród białych ścian, ziębiących glazurą i ponurością, znalazł niejeden włóczęga małą kopalnię, nie potrzebując przytem nadwyrężać się zbytnio: wystarczyło rechotać w gardle jakąś sylabę lub zacinać szczęki nad upartą jakąś zgłoską.

W redakcji pewnego dziennika zapoznał się profesor z młodym poetą, Laurenzim, i błagał go, aby przyszedł do jego gabinetu. Jąkanie się Gabrjela Laurenzi było formą lekką, miłą, interesującą, nadającą szczególną i czysto osobistą cechę jego głosowi i jego wymowie; bawiło ono panie; panienki naśladowały go przez kokieterję; młodzieńcy przedrzeźniali go czasem przez zazdrość. Ze stanowiska nauki była ta forma jąkania się t. zw. „przypadkiem klasycznym".

— Przyjdź pan, proszę, do mnie — zapraszał profesor. — Będę mógł o wiele lepiej zbadać pana u siebie. Będę mógł obserwować pana niepostrzeżenie dla niego. Przyjdzie pan?

— Napewno.

— Jutro na śniadanie?

— Jutro.

Młody poeta posłał pod adresem żony uczonego duży pęk kamelij; przybył w rękawiczkach jelonkowych koloru ciemno mahoniowego, zbliżonego do koloru wielkich jego oczu i długich jego włosów i na widok pani Zuzanny Metlipowskiej Ljanowiczowej uśmiechnął się najdoskonalszem zgięciem w łuk warg: złoty ząb w świeżych ustach młodziana wydawał się klejnotem w nawpół uchylonem puzderku z karminowego aksamitu.

W ciągu długiego szeregu dni młody poeta przychodził do willi profesora — willi zalotnej jak dom karny — przynosząc z sobą swój uśmiech, swoje interesujące jąkanie się, swoje rękawiczki jelonkowe koloru ciemnego mahoniu; — stale poprzedzał go pęk kamelij.

* * *

Dzieło profesora wykazało, że jąkanie się jest jedynie stanem przejściowym przychodzącym okresami, zależnym od chwilowej bezsiły ośrodków mózgowych, kierujących narządami głosowemi. Zaburzenie, któremu łatwo jest ulec i które łatwo się leczy; po półgodzinnej rozmowie z osobą, dotkniętą niem, zaczynamy jąkać się i my również; po oddaleniu się wszakże od jąkały przestajemy jąkać się. Zaburzenie to potęguje się zazwyczaj pod wpływem uczucia lęku, niepokoju, przerażenia, albo też wprost onieśmielenia, czy sugestji. W istocie też, w miarę spoufalania się z osobą, która budziła w nas poprzednio uczucie obawy czy nieśmiałości i w miarę obojętnienia dla niej zaburzenie słabnie, nawet ustępuje i dotknięty niem odzyskuje jeśli nie zupełną sprawność mowy, znaczną przynajmniej jej swobodę.

„Jąkanie jest odwrotnie proporcjonalne do spoufalenia się, wprost proporcjonalne do onieśmielenia".

Oczywiście pewniki takiej doniosłości nie bywają wypowiadane z podobnem ubóstwem wysłowienia się; tom wagi dziewięciuset gramów stanowił zbiór wzorów wszystkich języków umarłych i wszystkich języków żywych; każda stronica zawierała jeden wiersz tekstu dużym wyraźnym drukiem, zaś resztę jej wypełniały niezmiernie uczone komentarze petitem, najeżone skrótami, nawiasami, formułami algebraicznemi, cyframi. Całe dzieło podzielone było na pięć części: Część pierwsza: *„Wstęp"*, druga: *„Jąkanie się w rozwoju wieków"*, trzecia: *„Jąkanie się i środowisko społeczne"*, czwarta: *„Czy jąkanie się jest zaraźliwe?"*, piąta: *„Zapobieganie, rozpoznawanie i leczenie"*.

Profesor robił już pierwsze korekty książki, asystent

zaś przygotowywał analityczny spis rzeczy. A ponieważ dzieło o jąkaniu zamknęło już jeden z okresów życia profesora, przeszedł on odrazu do nowych studjów nad anomaljami zmysłu powonienia i zamknął drzwi swojego gabinetu przed wszystkimi jąkałami, otwierając je szeroko dla dziwnych osobników, którym fiołki parmeńskie przypominały zapachem zmokłego psa i którzy krzywili się z obrzydzeniem, wąchając flakon perfum „Chevalier d'Orsay".

Poeta nie posyłał już kamelij pani domu i nie bywał już zapraszany na śniadania. Ani nawet na herbaty. Pani widziała go jednak raz w liceum, podała mu rękę u Latoura i przemówiła do niego pewnego razu w hotelu Excelsior, w którego hollu krawiec paryski, Lewis, urządził wystawę wspaniałych modeli letnich.

— Mogę oddać ci ukłony od p...poety Laurenziego.

— Dziękuję ci, kochanie — odpowiedział profesor, odrywając prawe oko od mikroskopu, przez który badał kawałek tkanki węchowej. — Cóż to, miałabyś i ty jąkać się?

— Zdaje ci się. Zrobiłam to na żarty. Idziemy dzisiaj wieczorem do teatru Quirino?

— Kto występuje?

— Tina di Lorenzo i Armando Fa...lconi — wymówiła pani, czerwieniąc się.

— Co grają?

Pani chciała odpowiedzieć: „Jedwabna drabina" Chiarelliego, nie odważyła się jednak i odpowiedziała przezornie: „Hm, hm..."

* * *

I poszła do swojego pokoju. Profesor pozostał w gabinecie z okiem przywartem do soczewki mikroskopu.

— I w innych też formach patologicznych—myślał, przyglądając się kawałkowi tkanki powonieniowej—spotykałem się z pokrewnemi jeśli nie zupełnie identycznemi zniekształceniami histologicznemi. Możliwe też, że nie udał się preparat mikroskopowy. Żona moja spotkała się z poetą Laurenzim. Sprobujmy zabarwić mocniej komórkę. Żona moja jąka się. Adwokat Laurenzi jąka się. Na jądrze komórki dostrzegam rozgałęzienia włókniste. Otoczka natomiast... Żona moja jąka się; jąkanie się jej nazwałbym „specyficznem trzeciego stopnia"; widocznie spotkanie się z adwokatem Laurenzi było bardzo serdeczne i adwokat doznać musiał wrażenia tak silnego, że jego defekt wzmógł się w znacznym stopniu — soczewka ta jest nieco przyćmiona — w tak znacznym stopniu, że udzielił się on mojej żonie. Trzeba będzie posmarować śrubę, wpuścić na nią kilka kropli tranu. Reasumuję: nabłonek powonieniowy osobnika płci męskiej, dotkniętego zapaleniem tkanki śluzowej z licznemi powikłaniami ze strony... Żona moja kocha adwokata. Liczne powikłania dziedziczne... Adwokat kocha moją żonę. Od niedawna. Jąkanie jest wprost proporcjonalne do napięcia wzruszenia. Wzruszenie gwałtowne. Silne jąkanie się. Gwałtowne zarażenie się. Wypadnie obniżyć temperaturę, w której dokonywa się zabarwienie preparatu pod mikroskopem, przetrzeć soczewkę i przypilnować mojej żony...

Profesor Metlipowskij Ljanowicz spędził połowę swojego życia w Rosji, a drugą połowę nad mikroskopem. Nad mikroskopem omal nie utracił siły widzenia w jednem oku, a wskutek stałej pozycji twarzy skręciły się lekko w kierunku południowo-zachodnim jego wąsy, osadzone trójkątnie nad szeregiem zębów długich i rzadkich niby zęby powyszczerbianego grzebienia. Czaszka nie była zbyt dobrze osłonięta przed promieniami słońca. Mówią, że pewne ptaki, marabuty, mają cztery włoski na głowie. Profesor miał ich może z pięć.

Kochał żonę, ale bez wielkich wybuchów, bez szczególnej namiętności, bez gwałtownej zazdrości. Ona zaś była kobietą, zasługującą na to, aby być uwielbianą.

Zuzanna czesała się z przedziałem w środku, rozdzielając włosy na dwa czarne, gładkie, lśniące promienie, zasłaniające jej uszy na modłę leonardowego portretu Lucrezii Crivelli. Podkreślała lekko oczy ołówkiem i wyrywała sobie dwa włoski oddzielnie rosnące pomiędzy łukami brwi, niby kępki trawy wyrosłe poza kwietnikiem. Jej sposób ubierania się był prosty, ponieważ rodzaj jej urody nie wymagał podnoszenia jej strojem. Szczupła, wysmukła, giętka jak spacerowa laseczka, miała jednakże biodra jak amfora grecka i pierś dyskretnie wystającą pod bluzką z crêpe de chine.

Była idealnym typem kobiety na użytek letni. A był to właśnie czerwiec. I adwokat Laurenzi nie miał kochanki. Miał natomiast garsonjerę. Wszyscy o tem wiedzieli. Nazajutrz po spotkaniu się na wystawie modeli paryskich wiedziała o tem również i pani Zuzanna Metlipowskaja Ljanowiczowa.

* * *

— Jakie długie imię — uśmiechnął się adwokat — dla tak drobnej kobietki.

— Tak. Nieznośnie długie — zgodziła się pani.

— Gdyby pan wiedział, jak pragnę czasem, aby mnie nazywano krótkiem imieniem. Naprzykład Marja. Ale nie, jeszcze za długie. Wolałabym jeszcze krótsze, jednosylabowe, jakie miewają kobiety japońskie: Lu, Cziu, Ni... Jakże kochałabym mężczyznę, który nazywałby mnie: Ni!

— A mąż jak panią nazywa?

— Niech pan zawoła służącą i każe mi podać szklankę wody.

— Może piwa?

— Niecierpię piwa. Mąż mój raczył mnie niem podczas pobytu naszego w Frankfurcie nad Menem, gdzie studjował chrząstki kości ogonowych ludożerców z wysp Fidżi. Proszę kazać mi podać szklankę wody, dużą szklankę wody bez cukru, bez soku i bez konfitur, bez łyżeczki, bez serwetki, z kroplami ociekającemi po palcach.

Ukazała się służąca. Pan wydał rozkazy.

— To co powiedziałam panu kiedyś o dziejach mojego małżeństwa, jest kłamstwem. Nie zakochałam się wcale w moim mężu. Był kolegą mojego ojca. Studjowałam prawo. Rodzina moja wiedziała, że jest bogaty i że nie jestem mu wstrętną (jaka łaska!), ułożyła więc małżeństwo. A bojąc się, że na propozycję wyjścia za niego zamąż odmówiłabym z oburzeniem, proszono mnie, abym uczęszczała na jego wykłady... Szło o przyjaciela mojego ojca... Takie drobne grzeczności, które nic nie kosztują i podtrzymują przyjaźń. Ażeby nie robić przykrości ojcu, uczęszczałam na wykłady profesora. Ilu żabom odcinał w moich oczach głowy! Uważając, że okazuje mi tem szczególne względy, dawał mi zawsze do rąk miękkie i zimne mózgi i podsuwał do oglądania swój mikroskop, w którym nic nigdy nie widziałam. Po kilku miesiącach, kiedy oswoiłam się już z jego brzydotą, zaczęto mówić ze mną o małżeństwie. Przygotowanie nie było ani krótkie, ani pomysłowe. Propozycje małżeństwa są jak depesze, zawiadamiające o śmierci najbliższych krewnych. Zaczyna się od telegrafowania: ...„ciężko chory, przyjechać natychmiast", a kiedy się przyjeżdża, znajduje się trupa w stanie posuniętego już rozkładu.

Mówi się: ten a ten pragnąłby poznać cię, słyszeć cię grającą... Albo też... Ta a ta panienka chciałaby, abyś jej napisał kilka słów do albumu, lub wskazał jej dobre książki do czytania...

A kiedy staniesz wobec owej miłej osóbki o tak skromnych pragnieniach, ani się obejrzysz, a będziesz już zaręczony.

— A pani — zawołał Gabrjel — nie powiedziała rodzicom swoim, że nie może pani pokochać starego uczonego?

— Powiedziałam! Ale wiadomo przecież co się w takich razach odpowiada; istnieje utarta już formułka: „Miłość przyjdzie później, po ślubie, przy wspólnem pożyciu".

— Naiwni! Są jak ci, co kupują owoce zielone jeszcze, aby dojrzały w spiżarni. Mąż i żona,zamiast pokochać się, brzydną sobie wzajem, a owoce, zamiast dojrzeć, gniją. O, trochę wody! Dziękuję. A to co? Ubóstwiam plum-cake. I figi indyjskie! Figi indyjskie w lecie?

— Proszę przynieść nożyki — skarcił Gabrjel roztargnioną służącą, wpatrzoną w Zuzannę i oceniającą ją.

Służąca przyniosła dwa zgrabne nożyki i podała je panu z gestem Tetydy, wręczającej Achillesowi zbroję wykutą przez Wulkana. I opuściła pokój z godnością.

*
* *

Podczas kiedy Gabrjel i Zuzanna jedzą, rzućmy okiem na mieszkanie.

Garsonjera: drugie piętro, trzy pokoje, pokój kąpielowy, użytkowanie kuchni, telefon (20-174), winda, centralne ogrzewanie, widok na jedną z głównych ulic dzielnicy Ludovisi.

Kanapka z mnóstwem poduszek; niektóre z nich ukryte w tej chwili przez Gabrjela i Zuzannę. Na ścianach lubieżne ryciny z wyobrażeniami Hokousai i Outamoro. Niski stolik. Lekkie, zgrabne biureczko; fortepian nieprzystępnie milczący ale ukwiecony jak balkon; półka na książki tak pięknie oprawne w safian i złoto, że grzechem byłoby otwierać je do czytania. Rzeczywiście...

Skóry lwie z autentycznemi głowami i rozwartemi paszczami. Dywany sprowadzone z Teheranu, (a może ze Smyrny?); portrety słynnych kobiet z autografami. Za dużo kobiet sławnych, za dużo autografów. Niby okno wystawowe fryzjera, pełne zaświadczeń i podziękowań „za najwspanialsze perfumy, bez których nie umiałabym się już wprost obejść".

Lustra wysokości mężczyzny, a nawet kobiety.

Lampa z efektami świetlnemi.

Roślina egzotyczna. Kaktus? Kalceolarja? Baobab? Profesor Metlipowskij Ljanowicz umiałby to określić. W tej chwili na szczęście niema go tutaj. Jest w laboratorjum, gdzie przeprowadza ważne studja nad „Sokodu", chorobą Dalekiego Wschodu, zależną od ukąszenia przez szczury, oraz nad tsi-tsi-gamateki wywołaną przez specjalny gatunek ryżu.

— Uwielbiam figi indyjskie — zachwycała się uradowana Zuzanna — ale chcę je wyssać sama.

— Ukł... ukłuje się pani.

— Cóż znowu! niech pan patrzy. Łakocie są słodsze, jeśli je pocukruje niebezpieczeństwo. Dobre są te figi indyjskie. Chce pan ugryźć?

— Po pani.

Zuzanna wpiła zęby w miąższ owocu i podała go Gabrjelowi między dwoma palcami, podnosząc tak wysoko pozostałe trzy palce, że wydawały się lekko zagięte w tył.

Gabrjel ugryzł.

— Uu! — pisnęła trochę na serjo i trochę na żarty. — Kolec. Nech mi pan prędko wyjmie go z palca, zanim zdąży zrobić się zastrzał. Nie ma pan szczypczyków? Nie? Niech pan sprobuje zębami.

Gabrjel sprobował wyciągnąć zębami kolec z palca pięknej pani. Kolec wyszedł łatwo, ale palec (wraz z dziewięcioma swoimi towarzyszami) powracał kilkakrotnie do warg młodzieńca.

A od palca przeszedł Gabrjel do dłoni, a potem do przegubu. W nagłym napadzie odwagi objął panią wpół i pocałował ją w same usta.

— Za kogo mnie pan bierze? — oburzyła się, zrywając z kanapki.

— Za... moją.

— Proszę nie robić dowcipów. Słyszałam to już od wielu. Pan się myli. Bierze mnie pan za inną.

— Nie wziąłbym za panią najpiękniejszej kobiety na świecie.

— I to już wyszło z mody. Pan oszalał! Gdyby tu był mój mąż.

— Niema go.

— O, może pan prosić Boga, żeby nie przyszedł.

— Boże, proszę cię, żeby nie przyszedł.

*
* *

Tego dnia nie zaszło absolutnie nic takiego, co w komedjach zachodzi podczas antraktów, a czego w powieściach czytelnik domyśla się pomiędzy jednym rozdziałem a drugim (biała kartka, gwiazdki albo kropki).

Za dowód prawdziwości tego twierdzenia starczyłby list, jaki pani Zuzanna otrzymała następnego dnia:

— „Przyjaciółko,

W moim pokoju unosi się jeszcze zapach twój, upajający zapach młodości. Rozpaliła pani we mnie najbardziej nieczyste żądze, a kiedy ogień moich pragnień stał się już nie do zniesienia prażącym, odeszłaś jak nieprzyjaciółka. Dla czego?

„Nie pożądam od ciebie roskoszy jakiej wszyscy mężczyźni żądają od wszystkich kobiet. Nie. Chcę panią tylko pocałować. Pocałunek jest jedyną roskoszą, jakiej pożądam. Całować szyję twoją, ramiona, łono... I kto wie, jak daleko zaszedłbym, gdyby rozmiar biletu tego nie zatrzymał mnie na tem miejscu.

„Czekam panią jutro o trzeciej.

„Żegnaj. Składam w twoje palce zakończone ostremi błyszczącemi paznokietkami moje dłonie niewinne.

Gab."

Zuzanna nie odczytała po raz drugi tego listu. Przyjrzała się pod światło subtelnemu pismu i odłożyła na szklany stolik kąpielowego pokoju, wsłuchana w szmer wody, tryskającej z kranu do wanny i ożywiającej pokój pełen światła porannego i pary.

— Nie pójdę — myślała pani, wyciągając się w wannie.

— Nie pójdę — zapewniła samą siebie w dziesięć minut później, wychodząc z wody i ociekając jej kroplami.

— Nie idę — powtórzyła o wpół do trzeciej, wybierając z pośród sukien swoich biały kostjum z cieniutkiej wełny, w którym Gabrjel nazwał ją „boule de neige".

Przy śniadaniu nie mogła wymówić wyrazu „patetyczny". Poprzedniego dnia przy obiedzie dwa wyrazy wyszły z jej ust nieco przeinaczone: „Kandelabry" i „figi indyjskie".

Profesor wyciągnął natychmiast z tego ścisłe wnioski.

— Onegdaj zacięła się trzy razy. Wczoraj dwa. Dzisiaj raz. Wyraźnie zaburzenie mowy słabnie u niej. Było to może chwilowe, krótkotrwałe uniesienie. Nic niebezpiecznego. Gdyby kochał ją, jąkałaby się bardziej. Dobry stan obecny wskazuje na wyraźne wzajemne zobojętnienie.

Zmarszczone brwi jego wygładziły się zupełnie, a trójkątnie ułożone wąsy uniosły się z ponad tomu, który udawał że czyta i uśmiechnęły się do Zuzanny.

— A teraz żegnam cię, kochanie; muszę iść na posiedzenie rady akademickiej. Nie będę w domu przed kwadransem na dziewiątą dzisiaj wieczorem.

I profesor wyszedł. Służący złożył porządnie jego serwetkę; pokojówka podawała kawę pani.

Pozostawszy sama w pokoju jadalnym, Zuzanna wyciągnęła się wygodnie na szerokim fotelu i zapaliła papierosa.

— Gabrjel — myślała — ma prześliczne ręce. Zupełnie ręce kobiety. Kobiety, mającej piękne ręce. O, bo są takie, których ręce są zakończone w sposób!... Naprzykład Olga Vittoria Gentili. Albo Magda Aldobrandi... I ma też dołeczek na podbródku jak Baudelaire. Jest poetą; a chociaż jest poetą, potrafił zdobyć się na tyle dobrego smaku, aby nie czytać mi swoich wierszy, nawet poematu: „Flirt ze śmiercią", o którym mówią, że jest taki piękny. O ileż poeci wydają nam się bardziej poetami, jeśli nie czytali nam nigdy nic swojego! Gabrjel mówi mało. My, kobiety, w pewnych chwilach lubujemy się w milczeniu. Jaką przewagę nad innymi mają w miłości mężczyźni, którzy nie mówią, nie psują jej głupstwami, komentarzami, nie profanują jej niewłaściwemi dowcipami!... Która godzina?

Wszedł służący.

— Można sprzątnąć ze stołu. Na trzecią proszę mi zamówić automobil ze stacji.

— Otwarty?

— Nie znajdzie się chyba zamknięty w lecie?

Siedząc w chwilę później w swojem laboratorjum kokieterji (ile flakonów perfum, ile rozmaitych pudełek z pudrem, ile butelek kremu?) powtórzyła w myśli zapytanie służącego:

— Otwarty automobil?

Tymczasem Gabrjel Laurenzi powtarzał głośno po raz sześćdziesiąty, trzymając kamyk w ustach, wiersz najeżony niepodobnemi do wymówienia spółgłoskami i napisany przez niego samego celem wyleczenia się z wady wymowy.

Mimo tego zboczenia mowy miały o nim kobiety wysokie pojęcie. Zmuszony do używania ograniczonego zasobu wyrazów, zredukował wszystkie myśli swoje do wyrażania ich najściślejszego i najtreściwszego. W chwilach najsilniejszych wzruszeń milczał, a z tego milczenia wnioskowano o żywszem jeszcze uniesieniu.

O trzeciej czekało drżące auto przed ogrodem willi.

O tej samej godzinie czekał Gabrjel drżąc, nie tak jak auto, ale prawie tak.

W pół godziny później nie stanęło jeszcze auto przed domem Gabrjela.

Kiedy kobiety spóźniają się o pół godziny na schadzkę, znaczy to, że trwało tak długo ich strojenie się, wybieranie najcieńszej bielizny, najbardziej prowokujących pończoszek. Ale nie obawiajcie się. Odzyskują czas stracony, skracając zwłokę w oddawaniu się.

* * *

Nie dając się prosić, pozwoliła Zuzanna zdjąć sobie kapelusz słomkowy, przybrany piórami cacatoa.

— Podnieś pan rolety. Lubię światło.

— Nie, droga pani. Prawnicy, jak wiadomo pani lepiej jeszcze jak mnie, mówią że otwarte okna potęgują winę.

— Co to znaczy?

— Że czynią ją cięższą.

— W takim razie zostaw pan je zamknięte. Półmrok uczyni ją piękniejszą.

Półcień pogłębiał milczenie. Gabrjel i Zuzanna całowali się w milczeniu jak dwa motyle. Przez zasłony przesączał się promień światła i padł na różę, która lgnęła do brzegu wazonu pompejańskiego, jak gdyby wzywając słońce.

Koszula Zuzanny, zapięta na ramiączkach, opadała z obu stron, dzieląc się na dwie odrębne części, tylną i przednią, aż do bioder. Wystarczyło przezwyciężyć opór guziczków (opór kobiety był już przezwyciężony), aby obie części zwisły zupełnie, opadając na ziemię z obu stron.

Ciało wyłoniło się z nich białe i obnażone jak banan ze swojej łupiny à double face.

Była czwarta.

O wpół do ósmej pani Metlipowskaja Ljanowicz wróciła do domu, przyrzekłszy Gabrjelowi, że przyjdzie nazajutrz.

I, czekając na porę obiadową, przypominała sobie:

„Nie żądam od ciebie dreszczu, jakiego wszyscy mężczyźni żądają od wszystkich kobiet; chcę tylko całować twoją szyję, twoje ramiona..."

— Wszyscy mężczyźni — myślała — przysięgają, że zadowolnią się tem, a potem żądają więcej... Wszyscy mężczyźni mówią tak i wszyscy po to, aby zyskać to samo... Zresztą — zakończyła półżartobliwie — mają słuszność. Skoro wszyscy chcą tego samego, nonsensem byłoby używanie odmiennych słów.

— Żegnaj, Zuziu.

— Żegnaj, Koko!...

...Profesor pocałował ją w czoło z lekką nieufnością. Tego wieczoru Zuzanna piękniejszą była niż zwykle. Kobiety zyskują tajemnicze piękno po grzechu chętnie popełnionym. Była rozgadana, zajmująca. Przechodziła od jednego tematu do drugiego z łatwością wysłowienia się, z bogactwem dowcipnych porównań z żywością obrazów i błyskotliwością kalamburów. Ani razu nie zawahała się w układzie zdania, nie zacięła się na żadnym dźwięku.

Profesor uszczęśliwiony był tem, jako małżonek i dumny jako djagnosta. Przy deserze pocałował ją tak samo, jak przy przekąskach, z większą jednak pełnią ufności, bowiem jego mózg uczonego sformułował wniosek ostateczny, logiczny.

— Nie jąka się już. Zatem i tamten przestał jąkać się, mówiąc z nią. Zupełne zobojętnienie wzajemne. Może antypatja. Szczęściu mojemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Mogę być spokojny.

— Przewidywałem zresztą, że tak się skończy. Te rzeczy nie kończą się nigdy inaczej.

Profesor Metlipowskij Ljanowicz miał rację. Rozkoszna fatalność chce, aby zawsze kończyło się w ten sposób.

Przekład z włoskiego R. C.

M.B. w L. W. w Łodzi

OSTATNIA NOWOŚĆ! OSTATNIA NOWOŚĆ!

SINGERA

Elektryczna maszyna do szycia Kl. 101 — 2

TOWARZYSTWO AKCYJNE

„J. FRANASZEK"

WARSZAWA

Istnieje od roku 1829

ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 15. Telefon 1-72

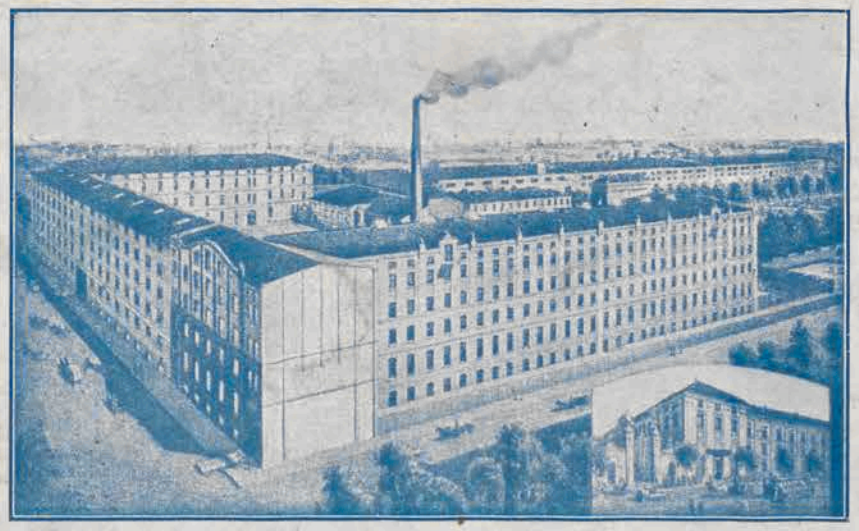

Ogólny widok fabryki

OBICIA PAPIEROWE

(TAPETY)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO NAJWYTWORNIEJSZYCH

4469-A

DRUKARNIA „ROLA" J. BURIANA, MAZOWIECKA 11.